

ozas. 2552/1976/9

Wzrostkiarski oświatowy  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Wamena

LUBLIN 2 V 1976 Nr 9 (599)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Czytaj na str. 16: „Studio II” — „Studnia II”

## O LUBELSKIM ZAGŁĘBIU WĘGLOWYM INACZEJ

# GÓRNICY I PRZYRODA

Jerzy Dostatni



**T**AK zażartej dyskusji, ścierania się przeciwstawnych poglądów, podstępnych pytań i dwuznacznych często odpowiedzi, które wywoływały całkiem widoczną na sali aprobatę lub dezaprobatę — dawno już w Lublinie nie było. Uczestniczyło w tym około sześćdziesięciu osób z całej Polski. Siły ilościowo były mniej więcej wyrównane. Z jednej strony członkowie klubu dziennikarzy zajmujących się specjalnie tematyką górniczą i naturalnie dyrektor kopalni Lubelskiego Zagłębia Węglowego w budowie, mgr inż. Aleksander Bąbczyński, wspomagany przez swego współpracownika dr Jerzego Hajdukiewicza — z drugiej dziennikarze z klubu ochrony środowiska naturalnego, wzmocnieni dwoma autorytetami naukowymi: dyrektorem Instytutu Nauk o Ziemi UMCS, prof. dr Henrykiem Maruszczakiem i przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Ochrony Przyrody prof. dr. Tadeuszem Wilgatem. Gdzieś w środku mgr inż. Krystyn Olszewski z warszawskiego Instytutu Kształtowania Środowiska oraz mgr inż. Olgierd Olszewski, główny architekt zarówno dawnego, jak i obecnego województwa lubelskiego.

Dokończenie na str. 4-5

# NIECH SIĘ ŚWIĘCI 1 MAJA!

## Wylegarnia strachu

**T**RZEBA się powołać na źródło. Zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel” z 16 lutego 1976 r. zwraca uwagę na fatalną atmosferę, jaka panuje w szkołach RFN. Walka o jak najlepsze stopnie, które stanowią warunek przyjęcia na wyższe uczelnie, wytwarza specyficzną konkurencję.

Okres wydawania świadectw — stwierdza tygodnik — to okres samobójstw. Strach przed niepowodzeniami coraz częściej doprowadza uczniów i rodziców do skrajnej rozpaczy. Nauczyciele i lekarze ostrzegają: „Nasze szkolnictwo zmierza do katastrofy”.

Fakty. W przeciągu 10 dni w Monachium powiesiło się trzech uczniów: jeden na szalu, drugi na sznurze, trzeci na powrozie. Wszyscy z tego samego powodu. 13-letni uczeń szkoły podstawowej nie dał sobie rady z testem przydatności do szkoły średniej; 14-letni uczeń szkoły średniej nie radził sobie z angielskim; 14-letni uczeń szkoły podstawowej nie chciał dłużej żyć, ponieważ otrzymał dwójkę z klasówki z matematyki.

Kiedy w końcu ubiegłego tygodnia rozdano w Bawarii świadectwa za półrocze, znowu nastąpiła seria samobójstw. Dziesięciu uczniów odebrało sobie życie ze strachu przed złymi stopniami. Podobne wypadki notowano również w Hamburgu i w Hesji.

Czynnikami, który skłania dziewczęta i chłopców do samobójstw, są zaburzenia w poczuciu własnej wartości, jakich dawniej — przynajmniej w takich rozmiarach — nie obserwowano. „Już dzieci siedmioletnie i dziewięcioletnie cierpią na stany depresyjne” — stwierdza służba doradczą psychologów ewangelickich w Monachium.

Ażby nie dopuścić do dramatów na tle ocen wśród dzieci i rodziców, przez dwa krytyczne dni wydawania świadectw w Hamburgu siedmiu psychologów i dwóch pedagogów dyżurowało przez około 20 godzin przy telefonach „pomocy dla uczniów”. 122 osoby dzwoniły z prośbami o pociechę.

Szkola, która według hasła dziadków ma przygotować do zawodu, do życia, popycha wnuków do samobójstw. To zatrważające zjawisko wynika stąd, że świadectwo jest warte tak wiele, jak nigdy dotychczas. To, czy młody człowiek zostanie przyjęty na naukę zawodu lub na wyższą uczelnię, zależy wyłącznie od stopni. Wśród uczniów gimnazjum decydują nawet części dziesiętne stopnia (Tu wyjaśnienie: w RFN nie ma egzaminów na wyższe uczelnie. Decyduje konkurs matur).

Reforma oświatowa w RFN stworzyła następującą sytuację: tylko ten, kto ze wszystkich przedmiotów ma piątki, może swobodnie wybierać kierunek studiów. Ten, kto zdobędzie maturę, ma przynajmniej widoki na naukę zawodu. Natomiast szkoła podstawowa nie daje niczego. Młodociągnięci, którzy jej nie ukończyli, nie mają żadnych perspektyw. Około 100 tysięcy młodych ludzi nie może uzyskać jakiegokolwiek pracy!

O tym, czy ktoś wdrapie się na czubek piramidy systemu szkolnictwa, czy też pozostanie na samym dole, decyduje „bezlitosna maszyna wystawianych stopni” — jak mówi bawarski pracownik wydziału oświaty, Wilhelm Ebert.

Do czego to prowadzi? Obserwuje się zjawisko wkuwania. Uczniowie uczą się tego, co może być przedmiotem pytań egzaminacyjnych. Nauczyciele

nauczają tego, z czego można odpytać. W klasach szerzy się dekonwiktowo. Mimo tego w Bawarii np. co dziesiąty uczeń szkoły średniej musiał powtarzać w ostatnim roku szkolnym klasę. Ogólna liczba uczniów, powtarzających klasę w RFN oceniana jest na 400 tysięcy rocznie!

„Strach przed szkołą stał się prawdziwą chorobą” — stwierdza lekarz pedagog, Johannes Meinhardt.

Rodzice są na ogół bezradni. Bezradni są też nauczyciele... „Der Spiegel” bije na alarm. I nie tylko „Der Spiegel”.

## Więcej niż zbrodnia

**F**RANCJA. Marsylia. I Eric, 16-letni chłopiec. Czy rzeczywiście chłopiec? Jego krępa postać i duże, szerokie ręce stanowią dziwny kontrast w długimi, jasnymi włosami, łagodną twarzą o wielkich, niebieskich oczach. Pod zielonym pulowerem zarysowują się drobne kształty piersi.

Kim jest Eric? Dziewczyną? Nigdy nie będzie dziewczyną. Eric to obojniak, homoseksualista. Po roku specjalnej kuracji, przeprowadzonej przez lekarza, którego uczynność ma w tym wypadku wszelkie cechy zbrodni, Eric stał się dziwnym dwupłciowym stworzeniem. Właśnie to sprawiło, że jego matka złożyła przy końcu ub. roku skargę przeciwko zbrodniczemu lekarzowi w komisariacie szóstego okręgu Marsylii. Eric nie jest jedyną ofiarą tego rodzaju praktyki. Jego historia może posłużyć jako przykład, warto więc ją bliżej poznać.

Posłuchajmy zresztą samego Erica. „Miałam 12 i pół roku, kiedy uciekłam z domu. Ojciec mój, robotnik, miał gwałtowne usposobienie i stale klęcił się z matką. Przez trzy lata uprawiałam (tak: miałam, uciekłam, uprawiałam — Eric mówi o sobie w rodzaju żeńskim!) prostytucję w Nicei, potem w Paryżu i wreszcie w Marsylii. W końcu w 1975 roku postanowiłam poddać się kuracji hormonalnej. Chciałam wyglądać jak dziewczyna, klienci to lubią. Dostałam hormony tutaj, w Marsylii, u pewnej lekarzki chorób wewnętrznych. Nie pytała mnie, ile mam lat, a miałam wówczas piętnaście, potem poszłam do pewnej pielęgniarki, która robiła zastrzyki takim jak ja”.

Eric dostawał te zastrzyki najpierw co miesiąc, potem co dwa tygodnie. Wkrótce istotnie zaczął się upodobniać do dziewczyny. Kiedy w październiku ub. r. przyjechała do Marsylii jego matka z trudem mogła poznać syna. Pobiegła do lekarzki, która zapisała zastrzyki. „Zniszczyła mi pani syna” — wołała.

Wezwana do komisariatu lekarzka tłumaczyła się: „Nie wiedziałam, że Eric jest niepełnoletni”. (?)

Francuski tygodnik „Le Point” z 23 lutego br., który tę całą skandaliczną historię opisał, stwierdza przy okazji, że chirurgia kosmetyczna stanowi drugi etap feminizacji. Lekarze nieźle zarabiają. 2 tysiące franków kosztuje przerobienie nosa, 4 tysiące franków — operacja nosa i brody.

„Chirurgi — zachwyca się Eric — robią cuda. Likwidują kości policzkowe, wydłużają oczy, zaokrąglają biodra przy pomocy specjalnych protez”.

Przyjaciel Erica przeszedł cztery operacje (przyjaciel ma lat siedemnaście): nosa, bioder, brody i piersi, a pewien chirurg podjął się nawet usunięcia mu narządów męskich...

Pozostawmy na boku zbrodniczą postawę lekarzy. Nasuwa się bowiem inne pytanie: co skłania młodych chłopców do poddawania się tego rodzaju praktykom? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Niewątpliwie u wielu

chłopców istnieją tendencje homoseksualne, które często znajdują ujście w prostytucji. Jedno jest jednak pewne: młodzi adepci homoseksualizmu szybko stają się podwójnymi niewolnikami: pieniądza i narkotyków. Sfeminizowani homoseksualści „kosztują” drogo (są bądź co bądź rarytasem na „rynku”). 15-letni Jean Paul sam stwierdza: „Poddałem się w ubiegłym roku operacji nosa i brody, aby „podrywać” więcej klientów i tym samym lepiej zarabiać”. Inny chłopiec, Allain, doszedł do tego, że nie cierpiał samego siebie i zaczął zażywać narkotyki. Jego ojciec, przerażony homoseksualnymi skłonnościami syna, rzekł się nad nim opieki. Gdy Allain skończył osiemnaście lat, w czerwcu 1974 r., popełnił samobójstwo. W jego pokoju znaleziono recepty, podpisane przez tę samą lekarzkę, którą oskarżyła matka Erica, i list brzmiący jak oskarżenie: „Stałem się potworem — pół mężczyzną, pół kobietą. Darujcie mi, że znalazłem szczęście w śmierci”.

## Piaga uprowadzeń

**I**NNY kraj. Włochy. Galopuje inflacja, lir z roku na rok traci na wartości. Zamykane są fabryki. A jednak... Jest branża, która prosperuje i to prosperuje coraz lepiej: mowa o włoskim „przemysle”... uprowadzeń.

Ta branża zagraża niekiedy bezpośrednio rynkowi pracy. Tak, tak... W Tortoli na Sardinii zwolniono 70 robotników cegielni, aby przez tego typu oszczędność zebrać pieniądze na okup, którego bandyci zażądali za uprowadzonego właściciela fabryki. Próbowano zresztą — całkiem bezskutecznie — na różne sposoby bronić się przed tą zarazą. Tworzono specjalne jednostki policyjne, wynajmowano prywatnych ochraniarzy, tresowano owczarki do obrony. Uczęszczano na kursy karate angażowano sobowtórów i instalowano najbardziej wymyślne urządzenia alarmowe.

W Sardinii lekarze nie chcieli wyruszać do chorych bez obstawy policyjnej. W Rzymie zatrwożeni rodzice nie pozwalali dzieciom chodzić do szkoły. Nic jednak nie potrafiło powstrzymać fali uprowadzeń. Szantażowane ofiary wciąż płacą. Nie widać kiedy ów przestępczy proceder popadnie w kryzys.

Znany producent i reżyser westeronów włoskich, Sergio Leone, spakował swoje rzeczy i przyłączył się do emigrantów nowego typu. Uznał Paryż za bezpieczniejszy. W przyszłości stąd właśnie zamierza kierować swoimi interesami firmowymi.

Kto we Włoszech jest znany i bogaty, a nie chce opuszczać kraju, ten musi być gotów na rozstanie z dziećmi. Zdecydowali się na to m. in. rzeźbiarz Manzu i aktorki: Audrey Hepburn oraz Sophia Loren. Dwoje dzieci rzeźbiarza tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu uniknęło urowadzenia, kiedy gangsterzy otworzyli ogień do szofera, który wioził je do szkoły. Już następnego dnia dzieci leciały samolotem do Monachium, a teraz żyją ukryte w Górnej Bawarii.

Włochy — sławione jako kraj, w którym dziecko jest królem — narażone są na utratę tego nimb, gdyż dzieci coraz bardziej znikają z ulic i placów publicznych.

Na ulicach dzieci szaleją jeszcze w dzielnicach biedoty wielkomiejskiej, gdzie kidnaping się nie opłaca. Jednak już w warstwach średnich mieszczaństwa potrzeba odwagi, aby wysłać dziesięcioletka po zakupy. Jeśli uczeń

na czas nie przychodzi ze szkoły, wzbudza to jak najgorsze obawy. Ale boją się i ci, którzy niczego nie mają, gdyż wielokrotnie porywacze przez pomyłkę zabierali inne dziecko niż te, które sobie upatrzyli.

Ta możliwość uskrzydliła fantazję poszukujących skutecznej ochrony, zaczęli oni bowiem przebieierać się. Pericle Lavazza, przedsiębiorca z branży kawowej, tak zmienił swój wygląd, że nie różni się od szarego człowieka z ulicy. Jego sześciocyndrowy samochód jeździ tylko w celach maskujących. Sam właściciel korzysta z małego fiata. Zapuścił też (właściciel, nie fiat) siwe włosy. I teraz mała sensacyjka. Król kawy został jednak uprowadzony, nie ten jednak — fałszywy. Pewnego wieczoru z centrali firmy Lavazza wyszedł człowiek, który udął się pośpiesznie do swego mercedesa i został schwytyany przez trzech bandytów. Wepchnęli go oni do swego alfa romeo. Człowiekiem tym był 67-letni dr Tullo Gallavresi, przewodniczący rady nadzorczej i bliski przyjaciel króla kawy.

Ale... Im dłużej porywacz siedzący za kierownicą spoglądał w lusterko wsteczne, tym większe stawały się jego wątpliwości. Wreszcie zahamował i zażądał dowodu ofiary. Następnie krzyknął do swoich kolegów: „Idioci, złapaliście nie tego!” Przewodniczący rady nadzorczej musiał zostawić swój złoty zegarek i portfel, po czym go wypuszczono. A w tym samym czasie król kawy, Lavazza, jechał do domu swoim małym samochodem...

Kij ma jednak dwa końce. Podobną metodę maskowania stosują również sami kidnaperzy. Tak np. dyrektor generalny koncernu elektronicznego w Rzymie został uprowadzony przez patrol policyjny, przeprowadzający kontrolę drogową. Oczywiście patrol był fałszywy.

Państwo jest beziłne. Policja kryminalna utworzyła co prawda 500-osobową jednostkę specjalną, która stacjonuje w Rzymie i rejestruje centralnie oraz bada wszystkie wypadki uprowadzeń. Na ogół jednak „specjaliści” nie potrafią dokonać niczego innego, jak tylko przeprowadzić kontrolę uliczną po uprowadzeniu.

## Lawina bankructw

**K**OLEJNY kraj zachodni: Wielka Brytania. W ubiegłym roku zanotowano tu 7293 bankructw.

George Auger, który od wielu lat jest ekspertem finansowym, mówi, że w czasie pomyślnej koniunktury gospodarczej (jaka istniała np. kilka lat temu) osobnik, który popadł w długi, mógł pójść do banku i zaciągnąć pożyczkę na pokrycie swych zobowiązań fiskalnych. Teraz jednak, w czasie recesji, nie może tego zrobić. „Obecnie jest więcej bankructw, ponieważ ludzie zagrożeni bankrutwem mają trudności z uzyskaniem kredytu, aby móc się wydobyć z kłopotliwego położenia”.

Charakterystyczny, zdaniem Augera, jest stosunek potencjalnych bankrutów do kobiet. Mężczyzna, który szybko zaczyna robić interesy, chce mieć nie tylko luksusowy samochód, ale i piękną kochankę. Zony świeżo upieczonych businessmanów też mają wygórowane ambicje: od razu chcą mieć większe mieszkanie albo masowo kupują „ciuchy”.

Trzeba zbyt drogo płacić za wygórowane ambicje, za nadmierne rozbudowywanie interesu bez względu na środki, jakimi się dysponuje...

**W** IADOMOSCI zamieszczane w tej rubryce tradycyjnie zatytułowaliśmy: „Świat, w którym żyjemy”. Zapewne bardziej adekwatny byłby inny tytuł: „Świat, w którym nie żyjemy”. Kropkę nad „i” postawią już sami czytelnicy. Wszystkie fakty zostały zaczerpnięte z prasy zachodniej: „Der Spiegel”, „Le Point”, „Die Welt” i „The Guardian”.

Korzystając z pobytu w Lublinie prof. Jerzego Hryniewieckiego, wybitnego architekta i pedagoga, autora klasycznego już w literaturze przedmiotu Stadionu X-lecia w Warszawie, przeprowadziliśmy z nim rozmowę, której treść publikujemy.

Ireneusz J. Kamiński: — Panie Profesorze, zechciał Pan przyjąć funkcję superarbitra „Lubelskich Spotkań Plastycznych 76”, co dla wielu z nas, tutaj mieszkających, jest powodem sporej satysfakcji. Nim poproszę o opinię na temat tej imprezy, nacelowanej na likwidację monotonii kilku osiedli Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, zapytam Pana wprost, może najwięcej: dlaczego w naszych nowych osiedlach panuje na ogół smutek, a w najlepszym wypadku senność?

Jerzy Hryniewiecki: — Bo traktowano je właśnie jako sypialnie lokując na peryferiach miast i wyprawiając z ich obszaru jakiejkolwiek zakłady pracy. Opierano się przy tym na ideach cennej niegdyś, społecznie pożytecznej „Karty Ateńskiej”. Kilka dziesiąt lat temu, kiedy przemysł wyglądał tak, jak to widzimy na rycinie naszej „dużej” stuzłotówki, należało od niego uciekać. Dymiące i cuchnące zakłady były niesłychanie uciążliwe dla ludzi. Ale dzisiaj wiele gałęzi przemysłu — elektroniczny na przykład — nie szkodzi zdrowiu człowieka, nie dewastuje środowiska. W nowych osiedlach mieszka się z reguły źle, to prawda bo pomijając inne momenty są to organizmy zbyt jednorodne. Konrad Lorenz, biolog i psycholog, zwrócił uwagę na fatalne podobieństwo peryferyjnych i niejako wyspecjalizowanych dzielnic miast — dzielnic mieszkaniowych, przemysłowych, składowych — do jednorodnych komórek ludzkiego ciała, zwanych w medycynie po prostu rakiem.

I. J. Kamiński: — Zatem żenić dzielnice mieszkaniowe z przemysłem?!

J. Hryniewiecki: — Powiedziałbym inaczej: lokować w osiedlach instytucje i zakłady produkcyjne, które pod żadnym względem nie są uciążliwe dla otoczenia. Mam na myśli np. biura projektowe, ale takie, które rzadko bywają odwiedzane przez ludzi z zewnątrz. Przemysł precyzyjny w pobliżu budynków mieszkalnych również nie byłby intruzem. Ostatecznie chodzi o to, aby nie „kawałkować” miast, ponieważ tego rodzaju rozwiązania nie służą zdrowiu człowieka: psychicznemu i fizycznemu. Na warszawskim Żoliborzu i w jego okolicy mieszka ćwierć miliona ludzi, podczas gdy miejsc pracy jest tam niewiele. Więc codziennie dziesiątki tysięcy wędrują do pracy w innych rejonach stolicy. Nawet domy akademickie są tak rozrzucone w obrębie miasta, że studenci minimum dwa razy dziennie muszą jeździć po parę kilometrów do uczelni. Tymczasem według badań amerykańskich najczęściej stresów powodują podróże między miejscem pracy a mieszkaniem, uprawiane, rzecz jasna, w godzinach szczytów. Racjonalne rozproszenie przemysłu mogłoby złagodzić ten problem. Gdyby jeszcze udało się odejść od mechanicznego przydzielania mieszkań, które absolutnie nie bierze pod uwagę miejsca pracy delikwenta, nie mówiąc już o bardziej delikatnych momentach, takich, jak wiek i zdrowie człowieka...

I. J. Kamiński: — Lublin nie przekroczył jeszcze 300 tysięcy mieszkańców, więc wspomniane przez Pana kłopoty czy wręcz dramatyczne problemy nie występują jeszcze w skali powiedzmy warszawskiej, aczkolwiek poranna jazda autobusem z LSM do Fabryki Samochodów Ciężarowych może przypomnieć o atakach histeryi. Rusza już przecież węgiel lubelski...

J. Hryniewiecki: — Odnoszę wrażenie, że informacja o tym węglu jest nieco schematyczna, pocztówkowa, a pełną wizję przyszłego górnictwa lubelskiego mają tylko dziennikarze. Tymczasem po doświadczeniach Rybnickiego Okręgu Węglowego, doświadczeniach zresztą znakomitych i unikalnych w skali światowej, Lublinowi łatwiej byłoby osiągnąć harmonię między takimi sprawami, jak miejsce pracy, komunikacja, mieszkanie, wypoczynek i rekreacja.

I. J. Kamiński: — Byłoby zatem pożyteczne, gdyby ktoś z dyrekcji „Lubelskiego Węgla” uczestniczył w Lubelskich Spotkaniach Plastycznych, w specyficzny sposób podnoszących niektóre z tych zagadnień.

J. Hryniewiecki: — Tak, ja nawet spodziewałem się takiej obecności. No cóż, przemysł to olbrzymie źródło, to szansa cywilizacyjna i kulturalna dla każdego miasta, przede wszystkim dla miasta małego, czego dowodem Mielec

czy Wałbrzych. W tym ostatnim są trzy stadiony na 35 tysięcy widzów każdy, wzniesione przez trzy tamtejsze kopalnie, które ponadto zafundowały mieszkańcom pływalnie.

I. J. Kamiński: — Jak Pan ocenia projekty plastyczne przedstawione w ramach „Spotkań” w domu kultury LSM?

J. Hryniewiecki: — Najpierw u nas się buduje, a potem zagospodarowuje teren — byle jak. Więc plastycy stanęli wobec dużego i złożonego zadania, którego wielofunkcyjność nie została jednak wydobytą przez inicjatorów imprezy. Stąd tyle uwagi dla potrzeb dzieci (plac zabaw, ich ciekawe elementy), przy pewnym zaniedbaniu wymagań ludzi dorosłych czy starych, mieszkających w osiedlach. Tymczasem coraz więcej ludzi w Polsce pracuje przy biurku, wracając potem do ciasnych mieszkań. Trzeba im zapewnić możliwość spaceru — w pogodę i w deszcz — odpoczynku na ławce w osiedlowej pergoli, a nawet „przebieżki”. Owszem, w niektórych projektach dość szeroko uwzględniono te potrzeby, proponując np. stawy wodne, amfi-



Fot.: J. Trembecki

## ROZMOWA Z PROF. JERZYM HRYNIEWIECKIM

teatr... Inna kwestia: przy istniejącej unifikacji i standaryzacji odróżnianie budynków w osiedlach spółdzielczych bywa piekielnie trudne. Spodobał mi się zatem projekt ścian szczytowych trzech budynków, na których autor umieścił kolejno: jedną, dwie i trzy czarne kropki. Czy może być bardziej precyzyjny adres: osiedle Sienkiewicza w Lublinie, dom „Pod Jedną Kropką”...

I. J. Kamiński: — Dość niedaleko tego osiedla znajduje się standardowy domek jednorodzinny, na którego ścianie widniała niegdyś reklama z wielkim wizerunkiem słońca. Reklame zmieniono, zminiaturyzowany słońca zupełnie zniknął wśród innych wymalowanych elementów, lecz nieodmiennie dom zwany jest „Pod Słońcem” i takim hasłem nadal posługują się taksówkarze.

J. Hryniewiecki: — No właśnie. Osobna sprawa: wzbogacania architektury. Kiedy dzięki fabrykom domów i normatywom osiedla mieszkaniowe zachorowały na jednostajność i monotonię, istnieje konieczność szukania pomocy w innej sferze, właśnie plastycznej. Lubelskie projekty charakteryzuje znaczne bogactwo form i technik plastycznych: od figuralnych rzeźb pomnikowych przedstawiających patronów niektórych osiedli, np. Krasieńskiego, po mozaiki na ścianach szczytowych. W pewnych projektach pojawia się także zielen, ale w stopniu zbyt chyba nieśmiały. Myślę, że warto wykorzystać w Lublinie świetny wzór, z jakim spotykamy się na Trasie Łazienkowskiej w Warszawie, gdzie wspinające się po skarpach trawniki są z daleka widoczne, działają mocno i szybko na oczy i psychikę człowieka. Tereny LSM są na szczęście pofalowane, ale rozkołysmy jeszcze bardziej tę rzeźbę terenu. Drzewa? Dobrze, ale pamiętajmy, że w pełni wyrosną one dopiero za lat 20, a część z zasadzonych „patyczków” zostanie zniszczona.

I. J. Kamiński: — Plastycy dość ostro zabrali się za ściany szczytowe.

J. Hryniewiecki: — Zalecałbym daleko idącą ostrożność w traktowaniu tych pustych powierzchni w charakterze ekranów umożliwiających artystom wyżycie się. Lokowanie tam wielkich, monumentalnych kompozycji wydaje mi się nieuzasadnione, ostatecznie budynek jest bryłą i należy to respektować. Na tego rodzaju ścianach spotka-

łem swego czasu tafle czarnego, zielonego czy złotego szkła, które funkcjonowały jak lustra: odbijające obłoki, sąsiednie domy, drzewa... To bardzo interesujący efekt, a przy tym zmniejszający bezwzględna twardość ściany. Z projektów przedstawionych w Lublinie podobał mi się ten, który — autorzowany przez studentów UMCS — bardzo dyskretnie, lecz skutecznie, przez zastawianie cieniowania ożywił masywny i wielki budynek rektoratu uczelni, znajdujący się właśnie „pod wiechą”.

I. J. Kamiński: — W zespole konsultantów „Spotkań” znajdują się m.in. architekci — projektanci poszczególnych osiedli LSM. Wyznam uczciwie, że ich wypowiedzi na temat propozycji plastycznych wydały mi się — jakby to powiedzieć — może nieco ograniczone. Mówili o technice, materiałach i pragmatyce, z daleka obchodząc idee kreowania przestrzeni społecznej...

J. Hryniewiecki: — To zrozumiałe. Początkowo architektura mieszkaniowa została „związana” normatywami; nasze standardy powierzchniowe były swego czasu najniższe w Europie. Później pojawiły się ograniczenia innego rodzaju, związane z urucho-

wyjątkowo zacofane — nie tyle pod względem technicznym, co organizacyjnym. Na budowach prowadzonych przez Szwedów w Warszawie nie widzi się prawie ludzi, a domy rosną szybko. Kiedy my musimy coś szybko wykonać, na placu gromadzi się armia robotników. Teoretycznie rzecz biorąc moglibyśmy pracować w tym samym tempie.

I. J. Kamiński: — Co przeszkadza?

J. Hryniewiecki: — Brak wysokokwalifikowanych robotników. Nadal rozwija się w kraju tradycja sezonowych murarzy, którzy w zimie szatkują kapustę, a latem idą na budowę. Zdumiewające przecież: ci sami ludzie wysłani za granicę demonstrują olbrzymią sprawność, o czym świadczą polskie budowle w Czechosłowacji, NRD, RFN, Związku Radzieckim i w innych dalekich krajach. Jako jeden z głównych konsultantów „Polexpo” jeździę z budowlanymi na targi i wystawy międzynarodowe. Stwierdzam: tak dobrych robotników jak Polacy, nie ma nigdzie. Potwierdzają to zresztą nasi zagraniczni kontrahenci.

# SMUTKI I NADZIEJE ARCHITEKTURY

I. J. Kamiński: — Źródło w robotkach?

J. Hryniewiecki: — Nie, w ambicji. Polski robotnik nie może ścierpieć, jeśli ktoś go przewyższa fachowością i tempem pracy.

I. J. Kamiński: — A w kraju mamy kłopoty. Jakie wyjdzie z tej sytuacji mógłby Pan zaproponować?

J. Hryniewiecki: — W urealnieniu pojęcia indywidualnej odpowiedzialności: za decyzję, robotę etc. U nas o wszystkim decydują komisje, a więc indywidualnie — nikt. Ponadto komisje mają to do siebie, że stale zbierają się w różnym składzie personalnym. Chodziłoby też o stworzenie warunków sprzyjających ciągłości pracy na stanowisku. Znam budowle, na których kilkakrotnie wymieniano kierownictwo. Należałoby zarazem przywrócić rangę rzemiosłu budowlanemu i pełniej wprowadzić je do uprzemysłowionych procesów budowlanych. Rzemieślnik ma ambicję, robotnik pracuje często bez osobistej, zawodowej satysfakcji, natomiast jest tylko drobnym elementem systemu produkcyjnego. Tymczasem w świecie odchodzi się od procedury pracy anonimowej, np. związanej z taśmą, tworząc zespoły, które od początku do końca wykonują kompletny przedmiot czy urządzenie. Tak jest u „Cegielskiego” w Poznaniu, w fabrykach SAAB czy we włoskim „Fiatie”. Dyrektor lotniczej części tego koncernu powiedział mi, ich piloci-oblatorywacze nie chcą siadać za sterami samolotów, które wykonywali różni robotnicy. Zaufanie budzi produkt stałego zespołu ludzi, których zna się z nazwiska... Rzemiosło wiąże się z indywidualną odpowiedzialnością za dzieło, ale daje też okazję do samorealizacji. Jest po prostu bardziej ludzkie. A jak wygląda sprawa w polskim budownictwie? Jeden robotnik psuje pracę poprzemysłowca, bo na budowie zgromadził ich przypadek, tylko konieczność zarobkowania na życie. Takie zaś motywacje nie tworzą rzeczywistych zespołów, nie gwarantują dobrej roboty.

I. J. Kamiński: — Panie Profesorze, dziękuję serdecznie za rozmowę.

# POLSKA I POLACY W ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI ALEKSANDRA HERCENA

Alina i Jan Trochimiakowie

**A**LEKSANDER Hercen (1812—1870), pseudonim Iskander, znany pisarz rosyjski, publicysta, filozof i działacz społeczny, przez wiele lat swego życia był związany z losami Polski i Polaków. Oceniana z tego punktu widzenia postać Hercena szczególnie zasługuje na przypomnienie naszemu czytelnikowi. O stosunku Hercena do spraw polskich mówi nam jego aktywna działalność społeczno-polityczna i literacka.

Pierwsze ślady polskości u Hercena, łączące się z osobą M. Kopernika, znajdujemy w rozprawie kandydackiej i głównych jego dziełach filozoficznych. Z *Dziennika* zaś dotyczącego wydarzeń z życia Hercena z roku 1843 dowiadujemy się, że jego autor zaznajomił się z *Dziadów* częścią III. Zapoznaje się także z wierszem *Do matki Polki* i cytuje go. Przytacza również fragmenty z *Dziadów* część II, *Pana Tadeusza* oraz *Konrada Wallenroda*. Poza nazwiskiem Mickiewicza na stronach *Dziennika* z lat 1842—1845 znalazły się i inne, jak chociażby Szymona Konarskiego, Stefana Garczyńskiego, Zygmunta Krafińskiego (na którego *Nieboską komedię* i *Psalm przyszości* powołuje się Hercen), Hoene-Wrońskiego czy Towiańskiego.

Postacie Polaków znajdujemy już w jego pierwszych poczynaniach literackich (są to reminiscencje z pobytu Hercena na zsyłce w Permie i Wiatce), ale najwięcej miejsca poświęcił Hercen sprawom Polski i naszego narodu w swym najznakomitszym utworze autobiograficznym *Rzeczy minione i rozmyślenia* (1852—1868). Reakcję młodzieży rosyjskiej na wieść o wybuchu powstania listopadowego tak opisuje: „To już było niedaleko tak jakby w domu, i spoglądaliśmy na siebie ze łzami w oczach, powtarzając umiłowane słowa: Nein! Es sind keine leere Traume! Cieszyła nas każda kłeska Dybicza, nie wierzyliśmy w niepowodzenie Polaków; do mego ikonostasu włączyłem niezwłocznie również portret Tadeusza Kościuszki”.

Dużo miejsca poświęcił Hercen sprawom polskim w piątej części *Rzeczy minionych*, zatytułowanej *Paryż—Włochy—Paryż* (odnoszącej się do lat 1847—1852), a konkretnie w rozdziałach *La Tribune des Peuples* oraz *Mickiewicz i Ramon de la Sagra*. Pierwszy z nich mówi o genezie międzynarodowego czasopisma „Trybuna Ludów” (subsydiowanego przez Ksawerego Branickiego), a traktującego o polityce zagranicznej i sprawie polskiej. Bankiet w Edmunda Chojeckiego,

któremu wiele miejsca przeznacza Hercen w swych *Rzeczach minionych*, nastroja go do krytycznych uwag o Mickiewiczu i akcji związanej z „Trybuną Ludów”.

Mickiewicz jego zdaniem, pogrążył się w „dziwnym mistycyzmie”. Z treści rozmowy z naszym wieszczem wnosi Hercen, że wiadomości Polaka o literaturze rosyjskiej o kresu popuszkinowskiego są nikłe. Uderzył pisarza rosyjskiego nieprzyjazny stosunek Mickiewicza do Rosji, ale to Hercen stara się zrozumieć i usprawiedliwić. Przemówienie Mickiewicza na bankiecie, jego treść ideowa i dyrektywy dla czasopisma wprowadziło konsternację, a Hercenowi odebrało chęć wzniesienia toastu za autora *Dziadów*. Hercen oddaje cześć umiejętności oratorskim Polaka. Streszczając wystąpienie naszego poety, wypowiada się między innymi na temat przyczyn niepowodzenia czasopisma, wpływu katolicyzmu na Polaków, pisze o „obłędzie mesjanizmu Wrońskiego”, o „białej gorączce Towiańskiego”, o uwielbieniu Napoleona. Te ironiczne i zarazem kontrowersyjne wypowiedzi Hercena o Mickiewiczu i „Trybunie Ludów” są czasami bezpodstawne, największą jednak wartość ma tu sam obraz poety, odzwierciedlający najtrudniejszy okres w jego życiu osobistym i publicznym.

Obfitością problematyki polskiej wyróżniają się część szósta i siódma wspomnień. Oprócz licznych wzmianek, poświęcone jej są całe rozdziały takie jak: *Wychodźstwo polskie*, *Michał Bakunin i sprawa polska* oraz *Parowiec* (Ward Jackson).

Warto podkreślić, że okres pobytu Hercena na emigracji w Londynie charakteryzował się bardzo ożywionymi kontaktami z naszą emigracją spod znaku Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego. Te same interesy polityczne i wrogość do caratu determinowały i cementowały wspólne akcje Rosjan i Polaków. Przede wszystkim należy tu wymienić zorganizowanie przy pomocy Polaków z Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego wolnej drukarni rosyjskiej w Londynie (jej pierwszym czerem był Polak, Ludwik Czerniecki) i dokonywanie (początkowo tylko przez Polaków) przetułów literatury nielegalnej — w tym „Gwiazdy Polarnej” i „Kołokoła” — do Rosji.

Wprawdzie niekiedy dochodziło między wspomnianymi grupami emigracji polskiej i rosyjskiej do pewnych dysonansów, lecz Hercen i Worcell starali się je usuwać.

Rozdział *Wychodźstwo polskie* (napisany w latach 1857—1858) mówi o emigracji polskiej. Hercen przedstawia w nim zwięzłą historię naszej emigracji od 1831 r. do końca lat pięćdziesiątych. Odmalowuje jej pragnienia i rozczarowania, tragizm z powodu odizolowania od kraju ojczystego i narodów, wśród których przebywa. Wytyka jej Hercen brak odpowiedniego programu społecznego, zawężenie działalności do spraw niepodległości narodowej i zbytne oglądanie się w przeszłość.

Pisząc o emigrantach polskich, ciepło wyrażał się autor o Stanisławie Worcellu. „Należał on — pisał Hercen — do wielkiej rodziny męczenników i apostołów, głosicieli i rzeczników swej sprawy, którzy stają zawsze przy każdym krzyżu, przy każdym wyzwoleniu (...)”.

Niemniej zarzucał mu chwiejność i uleganie wpływowi ludzi mniej wybitnych od siebie. Aczkolwiek Hercen starał się być obiektywny w swych ocenach, to nie ustrzegł się sądów, które niekiedy razią Polaka i są przez niego nie do przyjęcia. Hercen był zdania, że wraz ze śmiercią Worcella nastąpi rozkład emigracji polskiej. Wydarzenia lat 1861—1863 w Rosji i w Polsce nie potwierdziły tych obaw.

Jako rewolucjonista Hercen opowiedział się zdecydowanie i bez reszty po naszej stronie w 1863 roku. Maksyma Hercena głosiła: „Chcemy niepodległości Polski, dlatego że pragniemy wolności Rosji. Jesteśmy z Polakami, dlatego że skruwa nas jeden łańcuch”. Miał on jednak pewne własne zastrzeżenia i sugestie; nie chciał popierać tylko wyzwolenia narodowego bez społecznego, żądał rozwiązania problemu granic wschodnich i kwestii narodowościowych, uważał za przedwczesny termin wybuchu powstania, stąd i sceptycyzm (w odróżnieniu od Bakunina i Potiebnia) wobec jego powodzenia.

Hercen — autor takich artykułów jak: *Vivat Polonia*, *Mater Dolorosa*, *Resurrexit*, *Do Polskiego Komitetu Centralnego w Warszawie*, *Wezwania do oficerów rosyjskich w Polsce* i *Andrzej Potiebnia* — znalazł się jako Rosjanin w przykrych sytuacjach z powodu głoszonych przez siebie poglądów propolskich. Swoim

Dokończenie ze str. 1

Przedmiotem dyskusji była sprawa, czy i w jakim stopniu Lubelskie Zagłębie Węglowe wpłynie na pogorszenie walorów przyrodniczych zarówno bliższej jak i dalszej okolicy. Prawda, że to zaczęnie być aktualne dopiero za lat dziesięć czy piętnaście, może nawet dopiero za dwadzieścia, ale jeżeli nie będziemy o tym mówili już dzisiaj, jeżeli od jutra nie zaczniemy podejmować odpowiedzialnych decyzji zapobiegających degradacji środowiska, to potem będzie za późno.

Najpierw było oczywiście zwiedzanie kopalni w Bogdanie. Z zewnątrz nie wygląda ona nazbyt imponująco. Poza dwoma szybami, z których jeden sięga już głębokości 50 m, a drugi dopiero zaczyna wgrzać się w ziemię, wszystko jest prowizoryczne: barakowoz, barak biurowy, kotłownia, magazyny. Również pod prowizorycznym dachem pracują trzy zespoły wielkich agregatów, wytwarzających zimno — dwanaście milionów kilokalorii na godzinę, temperatura do minus czterdziestu stopni Celsjusza — które mrozi ziemię, aby ją można było wybierać celem położenia obudowy szybów. Metoda dopiero po raz drugi stosowana w Europie, ostatnio znów ulepszona przez naszych specjalistów, nie więc dziwnego, że napływają do nich zgłoszenia z całego świata, gdzie tylko trzeba stosować metodą mroźniową. Gdzieś od głębokości 500 m zmiana technologii — obudowę tworzą będą tubingi, potężne żeliwne pierścienie o średnicy, jak szyb, sześciu metrów. Dziesiątki elementów tych tubingów czekają już na składowisku. Będą skręcane potężnymi śrubami i uszczelniane ołowiem: muszą wytrzymać ciśnienie 150 atmosfer, podobnie jak inne fragmenty szybu.

Mimo przenikliwego właśnie w tym dniu zimna, dyr. Bąbczyński oprowadzał nas cierpliwie po wszystkich zakamarkach, pokazywał nowe maszyny polskie i radzieckie, tłumaczył zawiłości techniczne przepłatając je różnymi ciekawostkami. Potem już w klubie „Nora” także zimnym, mówił o perspektywach LZW. Z opublikowanych wcześniej informacji wiadomo, że jest tam ponad

## GÓRNICZY I PRZYRODA

40 miliardów ton węgla, że pierwszy milion wydobędziemy w roku 1980, a po dziesięciu latach już 24 miliony ton rocznie — to znaczy około 80 tys. ton dziennie.

A teraz dowiadujemy się rzeczy nowych. Sprezycowana wyżej eksploatacja obejmuje tylko część centralną złóż. Północna jest identycznie zasobna, południowa niewiele mniej. Kiedy więc LZW będzie dostarczać około 60 milionów ton rocznie. To zależy oczywiście od krajowego i światowego zapotrzebowania na ten materiał energetyczny, jak również od naszych możliwości. Przecież tylko pierwszy etap będzie kosztował około 70 miliardów złotych — nie każde państwo mogłoby się zdobyć na taki wysiłek.

Węgiel lubelski, podobnie jak na całym świecie, nie zalega w ziemi jedną grubą warstwą. Byłyby nawet kłopoty, gdyby tak było. Jest więc około dwudziestu pokładów, z których do eksploatacji — mowa o centralnym okręgu — nadaje się dziewięć. Ich grubość wynosi od jednego do trzech metrów i takie właśnie pokłady najbardziej nadają się do mechanicznej eksploatacji. Te pozostałe pokłady są albo zbyt cienkie, albo jest w nich zbyt wiele kamienia, więc eksploatacja nie opłaca się.

I właśnie na temat tego kamienia wywiązuje się gorąca dyskusja. Przeciwnie biorąc w pokładach które będą eksploatowane, kamień stanowi piątą część masy. Trzeba go wydobyć na powierzchnię razem z węglem, wysortować — i co dalej? Wszyscy zgadzają się, że nie można tworzyć hałd, jak to kiedyś robiono na Śląsku, na całym świecie także. Ponieważ w tym kamieniu jest trochę węgla, następuje samozapłon i hałdy palą się. Ponadto zmieniają zupełnie krajobraz, powodują zanieczyszczenie powietrza, zajmują coraz więcej powierzchni ziemi, wyłączając ją z uprawy rolnej.

Są więc różne projekty wykorzystania tego kamienia. Jedni proponują, aby zasypywać nim większe wgłębienia w terenie, przeciwko czemu

gwałtownie protestują przyrodnicy. Inni chcą go wykorzystywać dla budownictwa jako kruszywo, którego Lubelszczyźnie bardzo brakuje, ale nikt nie umie ostatecznie odpowiedzieć, czy takie kruszywo będzie się nadawało do użytku ze względów technologicznych. Był nawet projekt, aby tworzyć z niego wał przeciwpowodziowy wzdłuż Bugu, jednak ktoś zaraz wyjaśnia, że w połączeniu z wilgocią kamień „spuchnie” i woda zmyje cały wał, powodując więcej strat niż korzyści.

Zagadnienie jest kapitalne jeżeli chodzi zarówno o ochronę środowiska, jak i eksploatację kopalni. Górniczy do końca byli optymistami, przyrodnicy odwrotnie. W każdym razie dobrze, że mówi się na ten temat otwarcie. Jest jeszcze kilka lat czasu, nim pierwsze kopalnie zaczną normalnie funkcjonować i miejmy nadzieję, że do tego czasu specjaliści rozwiążą ten podstawowy przeciwny problem. Aby nie było wątpliwości: wszyscy zgadzają się, że węgiel wydobywać trzeba, że jakiejś straty dla środowiska naturalnego muszą nastąpić. Rzecz w tym, aby były one możliwie najmniejsze i dobrze, że tak patrzą również górniczy.

Drugi problem to woda. Nie ta pod powierzchnią ziemi, występująca nieraz na głębokości za ledwie jednego metra, ale ta druga warstwa pod grubym pokładem kredy, kilkaset metrów w głąbi. Główny kłopot z tym, że jest to woda — jak mówią fachowcy — zmineralizowana. Po prostu zawierająca około pięć procent soli. Nie można jej przepompować ani do żadnej rzeki, ani do jeziora.

Dyrektor kopalni twierdził, że jeszcze na niej zarobi, ponieważ po odsoleniu będzie to woda zdatna nie tylko dla przemysłu, ale nawet dla gospodarki komunalnej. Ponieważ w Polsce nie mamy jeszcze urzędów odsalających na skalę przemysłową te zapewnienia nie wszystkich przekonały. Odezwał się nawet głos, aby ją wykorzystywać jako solankę sprzedawaną w butelkach lub becz-

hasłem pozostał jednak wierny do końca.

Wywołujące powstanie i jego bohaterowie nie schodzą ze stronicy Rzeczy minionych i rozmyślań. Ekspozuje się tam dwóch ludzi, przedstawicieli dwóch narodów: Zygmunta Sierakowskiego i Andrzeja Potiebnia oraz ich tragiczny los. Powstania styczniowego dotyczą rozdziały części siódmej: Bakunin i sprawa polska i Parowiec (Ward Jackson). Znajdujemy tam credo Hercena odnośnie Polaków i powstania, omówienie spotkań z Potiebnią (w Londynie) oraz Edmundem Chojeckim i Ksawerym Branickim — zwolennikiem wojny z Rosją, a także z delegacją Warszawskiego Komitetu Centralnego w składzie Giller, Padlewski, Milowicz. Relacja z tego spotkania ma bardzo duże znaczenie historyczno-poznawcze.

Z dzieł Hercena wynika, że problematyka polska zajmuje w nich dużo miejsca. Odzwierciedla się tu zarówno tematyka polityczna jak i literacka. Zdecydowane wypowiedzi Hercena są niekiedy przykre dla Polaków, ale przeważnie słuszne i sprawiedliwe. Trudno byłoby znaleźć w literaturze rosyjskiej utwór, który mówiłby tyle i w ten sposób o Polsce i Polakach, co Rzeczy minionie i rozmyślenia.

W zakończeniu należy podkreślić, że kiedy reakcyjna i nacjonalistyczna prasa rosyjska zorganizowała nagonkę antypolską (co zaważyło na postawie i twórczości wielu pisarzy rosyjskich, a wśród nich nawet Mikołaja Niekrasowa i Lwa Tolstoja), inteligencja rosyjska odwróciła się od Hercena i doprowadziła do jego porażki politycznej. Po latach W. Lenin pisał o tym: „Kiedy cała sfera liberałów rosyjskich odsunęła się od Hercena za jego obronę Polski, kiedy całe wykształcone społeczeństwo odwróciło się od „Kołokoła”, Hercen nie upadł na duchu. Bronił w dalszym ciągu wolności Polski i chłostał ciemiężców, siepaczy, oprawców Aleksandra II. Hercen uratował honor demokracji rosyjskiej”.

Dziś patrząc z perspektywy historycznej na działalność Aleksandra Hercena można śmiało i z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że był on prekursorem i rzecznikiem zbliżenia i przyjaźni między obu narodami słowiańskimi.

kach, a ktoś inny półgłosem przypomniał, że np. w rumuńskiej Eforii istnieje wielkie jezioro z solanką, w której leczą się ludzie z całej Europy. Nikt jednak na te głosy poważnie nie zareagował i nie pozostało nic innego, jak wierzyć górnikom.

Przy okazji naukowcy przypomnieli trzy rzeczy. Już gdzieś po pierwszej wojnie światowej pewien właściciel ziemski na terenie pojezierza łączynsko-włodawskiego zlikwidował jedno jezioro, częściowo spuszczone wodę do innego, częściowo to pierwsze zasypując. Spowodowało to pewne zmiany przyrodnicze, na szczęście na ograniczonym obszarze. Pojawiła się także, już po raz nie wiadomo który, sprawa kanału Wieprz-Kirzna. Zyskało na nim rolnictwo, straciła ochrona środowiska. Popelniono bowiem pewne błędy, co zresztą przy pierwszej tak dużej inwestycji melioracyjnej było nie do uniknięcia.

Gorzej z trzecim problemem, to jest ogólnym brakiem wody w południowej części pojezierza, co wygląda na paradoks, ale jest rzeczywistością, bo co innego jedno czy drugie jezioro, a co innego brak wody w glebie, bez której ta gleba nie może rodzic odpowiednich plonów. Istnieją propozycje — do realizacji w nieokreślonej przyszłości — aby wodę sprowadzać z Wisły lub Sanu. Po pierwszych przemyśleniach Wisła odpadła, bo jej wody nie są i długo nie będą całkowicie czyste. Pozostaje San, tyle że projektowana poprzednio trasa, najkrótsza i najbardziej ekonomiczna, prowadzi przez Roztoczański Park Narodowy. Tak proponują hydrologi, nie zgadzają się na to przyrodnicy. Obie strony niewątpliwie wytoczą nowe argumenty, gdy przyjdzie do rozstrzygnięcia. Ale jest jeszcze czas i znów dobrze, że mówi się o tym zawczasu.

Równie, a może jeszcze bardziej podzielone są zdania, jeżeli chodzi o rozmieszczenie przyszłych miast i osiedli LZW. Pierwsza propozycja, zrodzona w górniczym biurze projektów, jako centrum LZW przewidywała Łęczną, miasto w przyszłości stutysięczne. Sprzeciwili się temu urbanisci i architekci lubelscy, zyskując sobie sojuszników w Instytucie Kształtowania Środowiska. Koronnym argumentem było to, że chociaż Łęczna leży w tej chwili najbliżej wkraczających do eksploatacji pokładów węgla, to byłoby to tzw. monomiasto, funkcjonujące tylko z jednego powodu. Doświadczania zarówno psychologów jak i socjologów, polskich

# WSPÓŁCZESNA POEZJA SŁOWACKA

Vojtech Mihalik

## USIEDLI PRZY STOLE, LICZA

Usiedli przy stole, liczą.  
Przyszłe auto trąbi do ich snów,  
małymi radościami je oplacą:  
kawę i papierosy,  
piwo i mleko,  
kino i mecz, owoce  
zmięte motor, przykryje karoseria.  
Dostępne pragnienia,  
którymi uśmiecha się człowieczy dzień,  
miłość i... raca  
staną się pozycją w budzecie.  
Uciekajcie przed ich chciwymi dłońmi,  
przed ich spętanymi szaleństwem zmysłami!  
Uciekajcie przed nimi, bo zdusili  
przyjazne słońce swoich tygodni i lat,  
a własnym dzieciom  
wcisnęli w twarz starcze oczy  
pożądliwe i zazdrosne.  
Usiedli przy stole, liczą.  
Dla study jednego wielkiego szczęścia,  
wynęli z domu swoje małe radości.  
A małe radości  
siedzą im przed oknem  
i szebiszczą podczas ich jesiennych sprzeczek  
jak jaskółki,  
które jutro odleca ku cieplejszym gniazdom,  
aby już nigdy nie wrócić.

Milan Kraus

## SUBSTANTIVA

Łóżko i pustka  
ranek i strzechy  
karbid i wino  
młynarz i róża  
  
Jedwabna suknia  
zblakanej żony  
rzeźba i rzeka  
Beethoven w oknie  
  
A potem znowu:  
Dal i cienie  
taniec i trawa  
tłum szum piach pierścień  
rybak i ręce  
  
Noc noc i północ  
Oddychanie do kamienia

Miroslaw Valek

## Z GŁOWĄ W OGNIU

Chciałbym, żebyś była z rana iskrą,  
żebyś zawsze, gdy świta, wpadła mi do oka.  
Iskra w oku,  
noc, noc głęboka.  
W taką noc jak w niebo wstąpienie.

W południe: mogłabyś być moim porażeniem.  
Żeby o mnie powiedzieli: cały goreł  
Żeby był przez ciebie trochę chory  
W południe:  
z głową w ogniu myśleć o tobie.

O wpół do osmej wieczorem: długo oglądam

Żeby cię zagrać  
według złota gwiazd  
i według krwi luny.  
O wpół do osmej wieczorem:  
żeby ciebie był ten wszechświat pełny.

Chciałbym, żebyś w nocy raz była: tak.  
Tak w sercu i tak na ustach.  
Iskra w oku, głowa w ogniu,  
noc, noc głęboka.  
Wpadłaś mi do oka.

Julius Zborovjan

## PRZECZUCIA

Czy tam umyka po ściernisku  
skoszone lato? Wierszu, mów.  
W deszczu utęwnym jesień bliska  
ogony ukazują krów.

Gdzie chłopcy skaczą przez ognisko  
na kartoflisku płosząc wrony,  
ktoś już przeczuwa jesień bliską  
ciężkim oddechem płuc strudzonych.

Wiatr na pożółkłych gwiazdzie listkach,  
nutę żalostną niesie wszędzie.  
nutę żalostną niesie wszędzie.  
Ach, cóż wam powie jesień bliska,  
jeśli poeta milczeć będzie?

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

i zagranicznych, wykazują dobitnie, że odbija się to ujemnie na życiu społecznym takiego miasta, a także na osobowości każdego z jego mieszkańców.

Ta propozycja więc raczej już odpadła, natomiast dyskutowane są cztery inne. Wybór nie jest łatwy, bo trzeba wziąć pod uwagę bardzo wiele różnych spraw: długość początkowych i późniejszych dojazdów do kopalń powstających w różnym czasie, techniczną infrastrukturę przyszłego jednego, dwóch czy czterech miast, budownictwo mieszkaniowe, oświatowe, służby zdrowia itd., drogi, możliwości rekreacyjne przyszłej ludności — a przede wszystkim koszty wszystkich przedsięwzięć oraz możliwie najmniejszy uszczerbek w wartościach przyrodniczych i krajobrazowych.

Na dzisiaj jednak trzeba już podejmować pewne decyzje. Tak np. w Łęcznej buduje się mieszkania i hotele robotnicze, które później zostaną przekształcone w normalne mieszkania — chociaż Łęczna nie posiada planu zagospodarowania przestrzennego, a posiadać go będzie dopiero za jakieś dwa lata. Architekci lubelscy powiadają, że lokalizacje wydają bardzo ostrożnie i że mają już jakąś ogólną koncepcję, na tyle elastyczną, że zmieści się ona zarówno w stutysięcznej jak i sześćdziesięciotysięcznej Łęcznej. Zresztą ten późniejszy plan też będzie musiał być zarazem i elastyczny i twardo przestrzegający pewnych podstawowych rozstrzygnięć.

Sprzeczne opinie ujawniły się także przy omawianiu metody wydobycia węgla, którą górnicy nazwali „na zawał”. Chodzi o to, że — po raz pierwszy w Polsce — na miejsce wydobycia węgla nie będzie wprowadzana podsypka, czyli piasek zmieszany z wodą. Pozostaną więc puste wyrobiska i to w kilku warstwach, zależnie od liczby eksploatowanych pokładów. Nad nimi będzie kilkusetmetrowej grubości sklepienie, głównie z kredy, ale prędzej czy później zacznie ono pękać i zawałać się. Górnicy twierdzą, że wyrażenie „na zawał” jest obrazowe, ale zbyt mocne, ponieważ obniżanie się gruntu na powierzchni ziemi będzie bardzo wolne, kilka metrów w okresie kilkudziesięciu lat. To nie powinno wpłynąć ani na zasadnicze zmiany w krajobrazie, ani na powstanie innych szkód górniczych. Nie powinno tego odczuć

nawet rolnictwo, a o zagrożeniu jakichś budynków nie może być nawet mowy, gdyż cały teren został wyłączony z jakiegokolwiek inwestowania. Nie też nie wskazuje na to, aby znajdujące się na powierzchni jeziora „uciekły” w głąb ziemi.

O tej „ucieczce” jezior wiele się mówi w prywatnych rozmowach, w rzeczywistości nawet przyrodnicy nie są taką możliwością zaniepokojeni, bo i oni w nią nie wierzą. Trochę się raczej o to, że w konsekwencji obniżania się terenu nastąpią zakłócenia w gospodarce wodnej na powierzchni i już dzisiaj trzeba szukać metod, zmierzających do jej uregulowania w przyszłości. Jedną z nich jest już projektowany „import” wody z Sanu.

Trudnych i ciekawych problemów jest oczywiście więcej. Nad ich najlepszym rozwiązaniem głowią się nie tylko specjalistyczne komórki górnictwa, ale także trzydziście placówek naukowych w kraju. Resort górnictwa na te bardzo różnorodne badania przeznaczył już pół miliarda złotych i gdy trzeba będzie, niewątpliwie coś jeszcze doloży.

Węgiel lubelski jest wielkim skarbem nie tylko środkowo-wschodniego makroregionu Polski, który w przyszłości będzie nim właśnie zaopatrywany, ale także całego kraju. Ale jak powiedział prof. Wilgat — to także nie jest dopust boży, by go dzielić się na wszystko: leżąc w ziemi nie traci on swojej wartości, po wydobyciu daje zyski, ale trzeba także liczyć straty i szkody, jakie może spowodować jego eksploatacja.

I dobrze, że wszystkie te problemy są w gronie fachowców szczerze i ostro dyskutowane. Chcemy przecież, aby Lubelskie Zagłębie Węglowe było na miarę XXI wieku. To znaczy, aby nas wszystkich wzbogacało, ale by równocześnie w możliwie najmniejszy sposób działało ujemnie na nasze środowisko naturalne. Dojdziemy do tego drogą dyskusji, sporów i badań, przy optymalnym wkładzie techniki górniczej i myśli naukowej przyrodników, geologów, ekologów, geografów, socjologów, urbanistów, architektów.

Jerzy Dostatni

## GWIAZDA

spóźnione koła w śniegu trzeszczą  
po lesie lodzie i po grudzie  
ale przebrzmiały dawne pieśni  
co kryły w sobie ciepło złudzeń

przepaść za nami się rozwarła  
nie przetrucimy mostu nad nią  
nieodwołalnie przeszłość zmarła  
zmarzniętą się nakryła darnią

życzliwi dziś jesteście wierni  
ptakom roślinom i zwierzętom  
bo płonie nam w pogańskiej ciemni  
tajemne noworoczne święto

zmierzch ciszę zwiewną nad dachami  
ustalił — i trwa ponad miastem  
wszystko co współistnieje z nami  
patrzy w wieczności płonną gwiazdę

+ + +

gdy pierwszy raz ujrzyś w sobie  
przebudzenie  
karla którego znałeś z opowieści może to  
znaczy  
że krew twoja osiągnęła temperaturę  
pokojową  
lub niesie cię fala niby zdechłą rybę albo  
chcesz zakwitnąć lgarstwem polnego maku  
potem następuje tłumienie tego karla w sobie  
gdy się pojawia po niepotrzebnej wojnie  
lub oleodrukowym jawi się wieczorem  
albo też pelza po przegranej buncie  
zjawia się także po zbyt ciężkich zniwach  
bywa przecinkiem przed długą jesienią  
albo zamieszka w tym drugim oddechu

gdy wybrzmi pieśń nadto pośpieszna  
żywisz go sprawą już umarłą w tobie  
i wtedy przychodzi oszajanie karla  
co dławi się ropą z zapiekłego wrzodu lecz  
jest potulnym bękartem swego czasu  
gdy stwarzasz noc w sobie przymykając oczy  
bo tam kamienie wybrzeża wyspy do której  
nie dopłynęłaś  
i przerażeni święci nieba które sam  
stwarzałeś  
to jest religia kłamstwa i blażeńskich gestów  
wąwóz wypełniony pierwszym gniciem  
zmierzchu  
gdzie za przetrwanie targujesz dogodniejszą  
cenę  
lecz jeszcze nie przestajesz patrzeć wstecz  
w tęsknocie  
dmuchnij w czarne żagle mroku na który  
przustałeś

## NOTATKI Z ALBIONU (V)

**M**IJNHEER Benkers, sędziwy nauczyciel angielskiego, zwierzył się kiedyś, że sam nie tylko nie był w Anglii, ale jednocześnie nigdy nie odczuł najmniejszej ochoty by tam pojechać. Dziwnym wydaje się może taki stosunek u kogoś, kto zarabia na życie ucząc nie tylko języka Anglii, ale także jej literatury, kultury i stylu życia. A jednak Holender miał chyba rację kiedy twierdził, że stał się tak nasycony tym krajem, że przestał odczuwać jakiegokolwiek fizyczne pragnienie, by go odwiedzić. Anglia przyszła do niego sama.

W ten sam sposób Anglik zabiera swój kraj wszędzie tam, gdzie się udaje. W chwili, kiedy stawia stopę na obcej ziemi, nieodmiennie promieniuje angielskością, grając w krykieta na amerykańskiej pustyni, sącząc herbatę w dżungli, czy jedząc rybę z frytkami w Hiszpanii. Anglicy posiadają bowiem wyraźny obraz tego czym jest Anglik i jak powinien się zachować. Grają rolę, która została dla nich napisana przez rodaków w ciągu stuleci. Zaden chyba inny naród nie narzuca tyle ograniczeń i formalnych nakazów w wychowaniu; zaden nie kształtuje charakteru człowieka tak rygorystycznie. To dlatego nieodmiennie trafnie rozpoznajemy ich w tłumie cudzoziemców spacerujących po naszych ulicach.

W jednej z poprzednich korespondencji pisałem o europeizującej metamorfozie Londynu, ale o tym, ile starej tradycji zostanie zachowanej, a ile nowej przyjętej, decyduje dzisiaj i jutro tego kraju, a dzisiaj i jutro każdego kraju to młodzież. Nie ta hippizująca i zbuntowana, ale ta, która idąc uschematyzowaną drogą nasyca angielskie biura i urzędy, pnie się po szczeblach kariery zawodowej i społecznej, wymienia starych w rządzeniu.

Przyjęcie było typowo angielskie. Wszyscy staliśmy pojedynczo lub grupkami w różnych kątach pokoju, z kieliszkami i talerzami w dłoni, sącząc chłodne, wytrawne wino. John Smith, który mnie tu przyprowadził, ukłonił przed paru laty Cambridge. Obecnie jest agentem handlowym w ogromnej firmie wydawniczej Macmillan. Zjechał prawie cały świat. Kiedy odwiedziłem go dwa lata temu, mieszkał jeszcze w małym zagraconym pokoiku na Clapham, płacił sześć funtów tygodniowo, a jego mieszkanie nie różniło się niczym od naszej przeciętnej studenckiej stancji. Dzisiaj dzieli z drugą rodziną przyzwoity piętrowy domek, gustownie umeblowany, z obowiązkowym ogródkiem z frontu. Do domku dochodzi się tu bowiem ciężką pracą i latami ustawicznych wyrzeczeń. Większość uczestników party to jego koledzy. Obecnie sytuacja absolwentów wyższych uczelni znacznie

się poprawiła. Głównie dzięki prężnej działalności Narodowego Związku Studentów. Nie muszą już, jak bohaterowie Osborne'a, sprzedawać na stoiskach owoców i warzyw. Prawie każdy z nich przyjechał tu własnym samochodem, prawie każdy był żonaty, prawie każdy miał dobrze skrojone ubranie i prawie każdy chciał mi przekazać coś, co jego zdaniem stanowiło istotę dnia dzisiejszego w jego kraju.

— Czasy poszukiwań mamy już za sobą — mówi mi Mike, wysoki rudy chłopak, rodem z Leicester, obecnie urzędnik banku Lloyd'a przy Victoria Street. — Ruch „młodych gniewnych” z pięćdziesiątych lat, wszystkie te odłamy znarkotyzowanych poszukiwaczy

kich reguł dawnej walki, dokładnie w zgodzie z opisami, rycinami i mapami strategicznymi. Jak trzysta lat temu, tak i teraz armia ta szykując się do bitwy wzbudza ogromne zainteresowanie lokalnych mieszkańców i turystów. Sama bitwa to kolorowe, żywe widowisko, niesłychanie kosztowne i bogate, dostarczające emocji na długie miesiące.

— To właśnie tacy jak my, młodzi ludzie, decydują o tym, czym ten kraj będzie za wiele lat — mówi Glenda. — Nasza droga była prosta. Prosta to nie znaczy nieciekawa. Zawsze stawaliśmy jednak po stronie pełnej świadomości i odpowiedzialności za to, co robimy. Osiągnięcie pewnej pozycji nie

było automatyczne. To długie lata zbierania każdego pensa, najdrobniejszych wyrzeczeń i niewygód. Rodzina pomagała mi niewiele, chociaż nie są bynajmniej biedakami. Teraz, kiedy kupiliśmy z Jimem stary dom, wszystko idzie na jego remont. W miejscu, gdzie mieszkałam poprzednio, spotykałam wielu młodych ludzi z całego świata. Między nami nie było nigdy żadnych barier porozumienia. To, co mówi Mike, że duchowo Anglia jest inna niż kiedyś, to zupełna prawda.

— Nie chcemy takiej tradycji, która izolowałaby nas od innych, która kazałaby nam patrzeć tylko w siebie i nie widzieć nic poza końcem własnego nosa — twierdzi Peter, jeden z dyrektorów działu reklamy wielkiej firmy handlowej Woolworth. — Każdy naród jest dumny z własnego dorobku, ale to co innego. Wbrew temu, że cechuje nas pozorna stabilizacja, my też jesteśmy w opozycji do dawnego porządku, ale swój „bunt” traktujemy inaczej. Bierny protest i kontemplacja życia nigdy jeszcze nikogo nie wyzwoliły. Przez wprowadzenie jednak nowego modelu życia zmieniamy stare rzeczy. Chcemy wyeliminować wszystkie anachronizmy życia brytyjskiego. Dzisiaj Londyn jest miejscem schronienia dla wielu młodych ludzi z całego świata.

— A jednak drogi jest wam „mały” angielski domek. — Droga jest nam pewna niezależność. Niezależność duchowa jest w pewnym sensie uwarunkowana niezależnością materialną. Sączyliśmy chłodne wino, a ja myślę o tym, jak kiedyś podeszła do mnie w metrze dziewczyna i zapytała dokąd jadę. Była bosa i zaniedbana, z kolorową opaską na włosach, w hinduskiej cienkiej bluzce i długiej kiecce do stóp. Tak ubierają się dziewczyny z Chelsea, dzielnicy artystów i bogatych nierobów. Ona jednak nie była stam-

— Nie wiem z czym chce walczyć to młode pokolenie, z którego przedstawicielami przegadałem prawie całą noc. Nie z tradycją, ale z izolacją, nie z panującym porządkiem, ale ze stereotypami. Prawie wszyscy należą do Labour Party. Mają jej jednak za złe odejście od własnych ideałów. Nie należą do lewicy partyjnej, mimo to krytykują partię za jej przechyl na prawo. Ich historie są prawie identyczne. Wyjście z domu, nauka, praca, potem awans. Małe pokoiki obwieszane plakatami i rozgwarzone muzyką, telewizja i spacer, bo na więcej nie ma pieniędzy i na koniec mały domek na przedmieściu, na spółkę lub samemu. Tak to przedstawiają. A dla mnie nadal zachowują swą aktualność słowa, które kiedyś napisała Ewa Boniecka:

Traktując z przymrużeniem oka narodową mitologię, warto chyba przywrócić się mieszkańcom Albionu, aby ich lepiej poznać i zrozumieć. Zwłaszcza teraz, gdy po wejściu do Europy zaczyna coraz wyraźniej zaznaczać swoją obecność na kontynentalnej scenie politycznej. Piszę „lepiej”, gdyż podejrzewam, że tak naprawdę pełne zrozumienie Anglików jest dla cudzoziemca rzeczą niemożliwą. Ale przecież spróbować warto.

# STARE I NOWE

Wiesław Horabik

z lat sześćdziesiątych i religijno-maniakalne prądy lat siedemdziesiątych zmieniły oblicze Londynu. To fakt, że zaczęliśmy jeździć. I to nie w celu zakładania nowej Anglii na dalekich lądach, ale żeby popatrzeć, jak żyją inni, jak gospodarują, co jedzą i jak się ubierają. Wyszliśmy do Europy i Europa przyszła do nas. Dawna, tradycyjna Anglia musiała umrzeć, żebyśmy mogli się zmieścić w nowym układzie sił. Dzisiaj nie istnieje już „typowy” Anglik w sensie, w jakim istniał jeszcze kilkanaście lat temu. To, co cechowało nas kiedyś — ekscentryzm w obchodzeniu się z tradycją — zniknął. I temu prawu musiało się podporządkować także stare pokolenie.

— Zaden naród nie wyrasta przecież w takim tempie z uświęconych tradycji — mówię.

— Tu nie chodzi o tradycję, ale o narodowy charakter. Współczesny młody Anglik niczym nie różni się od współczesnego młodego Holendra czy Niemca.

To dziwne — myślę. Myślę tak, bo brygadier Peter Young ma prywatną armię. Liczy ona 1500 mężczyzn, kobiet i dzieci i walczy za Króla i Ojczyznę. Król to Karol I, a Ojczyzna to XVII-wieczna Anglia.

Anglików zawsze fascynowały sprawy militarne, czego dowodzi niezliczona ilość woluminów zalegających w księgarni i biblioteki oraz ich poczytność; opasłe księgi opisujące historyczne bitwy, z pomocą map i diagramów ukazujące strategię, taktykę, szarżę, natarcia i odwroty. To właśnie Peter Young, w pełni świadomy tej fascynacji swych rodaków, pierwszy zrozumiał, że teraz, kiedy brytyjski lew nie ryczy już dłużej nad całym światem, lepiej czuć się będzie w cichym legowisku historii. Jego armia ubrana ściśle w mundury z tamtych czasów stacza bitwy „na niby” według wszel-

# BRAK JUDYMÓW RACJONALNYCH?

Maciej Podgórski

**N**A VI roku studiów medycznych prowadzi się ćwiczenia z zakresu przemysłowej służby zdrowia. I otóż opowiedziano mi, że spośród setki studentów tylko dwie osoby zgłosiły chęć późniejszej pracy w tej dziedzinie medycyny. Brak zainteresowanych, aczkolwiek nikt by od nich nie oczekiwał postawy Judyńca w harcerskich spodkach, a w porównaniu z lecznictwem otwartym przemysłową służbą zdrowia obejmują preferencje płacowe, specjalne dodatki.

Domyślam się, jakie tutaj mogą funkcjonować stereotypy. Ze lecznictwa otwartego na wsi to niby w dalszym ciągu duże pieniądze. Ze w klinice lub szpitalu można się o wiele więcej nauczyć niż w przychodni przyzakładowej... Gorzkie słowa znajduję w artykule Zbigniewa Rudzińskiego i Stanisława Tokarskiego: *Pracownicy przemysłowej służby zdrowia odczuwają często lekceważący stosunek pozostałego personelu medycznego do swej pracy. Również specjalizacja w medycynie przemysłowej uważana jest przez większość lekarzy nieprzemysłowych za coś pośledniego. Wytworzony w służbie zdrowia tego rodzaju stereotyp myślowy odbiega znacznie od klimatu stworzonego przez władze polityczne, związkowe, i administracyjne* („Zdrowie Publiczne” 1975, nr 9).

Jeden z autorów tego artykułu, Z. Rudziński, jest lekarzem, dyrektorem Specjalistycznego Przemysłowego Zespołu Opieki Zdrowotnej, placówki powołanej w Lublinie w październiku 1975 roku. I od niego właśnie dowiaduję się, że gdyby wziąć pod uwagę optymalne potrzeby kadrowe województwa w zakresie przemysłowej służby zdrowia, to braki obsady sięgają ponad 30 procent. Nie jest źle ze sprzętem i aparaturą medyczną, nawet z bazą lokalową, wyłączwszy raczej pomieszczenia samego Przemysłowego ZOZ w Lublinie; najgorzej jest z kadrą.

Uprawnieni do korzystania z opieki przemysłowej służby zdrowia są pracownicy przemysłu, budownictwa, transportu, łączności i leśnictwa, czyli główni wytwórcy dochodu narodowego. Rosną liczby bezwzględne osób faktycznie objętych tą opieką. Nie zmienia się natomiast procent objętych opieką w stosunku do uprawnionych. Oznacza to, że rozwojowi gospodarki nie towarzyszy proporcjonalny rozwój medycyny przemysłowej, głównie kadry medycznej. W szczególności trudnej sytuacji są tutaj rejonny o rozdrobionym i rzadko rozsiądanym przemyśle, choćby województwa ostatnio wyodrębnione: zamojskie, bialskopodlaskie, chełmskie. Tam zresztą w ogóle z lekarzami sprawa krucha.

Z drugiej strony okazuje się, że przemysłowa służba zdrowia jest w stosunku do lecznictwa otwartego znacznie bardziej operatywna. Przeprowadzone przez Z. Rudzińskiego i S. Tokarskiego badania statystyczne dowodzą, iż ponad 47 procent pracowników korzysta jedynie z przychodni przyzakłado-

wych, reszta zarówno z przyzakładowych jak i rejonowych; ponad 80 procent pacjentów przychodzi przyzakładowo uzyskuje poradę lekarską w czasie nie dłuższym niż pół godziny, natomiast w przychodniach rejonowych w tym samym czasie uzyskuje pomoc lekarską tylko 14 procent pacjentów. Tak korzystne wskaźniki uzyskuje przemysłowa służba zdrowia mimo kłopotów kadrowych w istniejących placówkach.

Trzeba powiedzieć otwarcie, że ten niedobór występuje od dawna. Odzywają się lata niedostatecznej propagandy zawodu lekarza przemysłowego. Odzywa się nie zawsze racjonalna polityka preferencji.

Powinno tu może pisać, iż fach lekarski piękny jest, wymaga poświęcenia i tak dalej, zaś zawód lekarza przemysłowego szczególnie pożyteczny dla gospodarki narodowej. To najgłębsza prawda, aczkolwiek slyszalem, że nadal lekarz wiejskiego ośrodka zdrowia „ma znacznie lepiej” niż lekarz przemysłowy.



Rys.: E. Ingłot

Szczególnie bowiem w przemysłowej służbie zdrowia sprawa profilaktyki ma znaczenie kapitalne. Oczywiście, leczyć trzeba i wystawiać zwolnienia lekarskie także. Inna sprawa, że ludzie gremialnie przyzwyczajeni się odwiedzają lekarza zakładowego w czasie godzin swojej pracy, nawet jeśli przychodnia czynna całą dobę. Gdy taki pacjent nie uzyska zwolnienia, a tylko poradę lekarską, to — według Kodeksu Pracy — powinien czas, spędzony w przychodni, odpracować! Zdarzają się przypadki naciągania lekarza — ludzie smarują się pod pachami wywarem pewnej rośliny, żeby „podbić gorączkę”. Bywa, że lekarz niedokładnie zbada pacjenta i wystawia zwolnienie.

Ale na ogół to przypadki sporadyczne i jestem jak najdalej od tego, żeby traktować pacjentów jak oszustów, zaś lekarzy jak brakorobów. Trzeba przyjąć, iż do przychodni zakładowej zgłasza się człowiek z rzeczywistymi dolegli-

wościami, a jeżeli otrzymuje zwolnienie, jest to fakt uzasadniony. Szukanie rezerw w zakresie ograniczenia absencji chorobowej nie polegałoby więc na mechanicznym zmniejszaniu liczby zwolnień lekarskich. Z pracy kosztem najmniejszego choćby uszczerbku zdrowia pracownika, lecz polegałoby na analizie przyczyn absencji oraz wczesnym rozpoznaniu dolegliwości w trybie badań profilaktycznych.

Tradycyjnie już budownictwo i transport sytuują się na czele tabel obrazujących wskaźniki absencji chorobowej. Robotnicy na budowy są dowożeni, częstokroć rozpoczynają dzień zajęć o 5.00 rano. Nierzadko odzwijają się jedynie piwkłem pod bułą z salcesonem. Higiena żywienia tutaj szwankuje bardzo co musi mieć wpływ na absencję. Dyspozytorzy przedłużają kierowcom dzień pracy. Badania kierowców po wypadku wskazują iż częstokroć przebywali oni w drodze po 14 godzin. Niezależnie od branży budowlanej i transportowej — trzeba stwierdzić, iż przemęczenie dojazdami do pracy, trybem życia chłopów-robotników są momentami w poważnej mierze wpływającymi na absencję chorobową i wypadki w zakładzie.

Owe, najprostsze przecież, powody chorób załogi może rozpoznać lekarz przemysłowy poprzez wywiad z pacjentem oraz badania okresowe czy kontrolne, lecz usunięcie przyczyn zależy już od samego zakładu — organizacji pracy, warunków socjalnych, sprawności dowozów. Cóż z tego, kiedy czasem nawet „zorganizowanie” pracowników, iżby stawili się na zbiorowe badania lekarskie, sprawia zakładom trudności. Na marginesie — podobno najbardziej opornymi pacjentami są ci, którzy mają „organizować”, czyli kadra kierownicza. Im bardziej odpowiedzialne stanowisko, tym niższa absencja chorobowa, ale tym poważniejsza dolegliwość ujawnia się potem, kiedy już nie ma innego wyjścia, jak tylko intensywne, nie zawsze skuteczne leczenie. Sprawa badań profilaktycznych dla kadry kierowniczej jest tematem właściwie dotąd nie podjętym przez przemysłową służbę zdrowia. Jak zmusić pana dyrektora do zbadania się?

Specyfika pracy lekarza przemysłowego polega m. in. na koniecznej „robocie papierkowej”, w której nie mogą go wyręczyć postulowane przez resort sekretarki medyczne, ponieważ sekretarek takich po prostu brak, a kierownik każdej przychodni zakładowej chętniej zatrudni pielęgniarkę niż sekretarkę. Zresztą pielęgniarek także brak. Z konieczności więc lekarze „uszą się zajmować sporządzaniem analiz absencji, opisem typów stanowisk pracy itp. ze szkodą dla samych porad i pomocy lekarskiej.

Nie chciałbym być źle zrozumiany — uznaję konieczność takich analiz, traktując je zresztą jako formę profilaktyki, ponieważ materiał do nich zbiera się drogą praktycznych badań, w czym lekarza już nikt nie zastąpi. Ale do samego sporządzenia analizy i przepisania jej mogłyby zakłady oddelegować raz na jakiś czas swego pracownika, nie żądając wszystkiego od resortu zdrowia.

W ogóle odnoszę wrażenie, iż zakłady wprowadzić chętnie łożą na lokale i wyposażenie przychodni, ale później współpraca układa się rozmaicie. Nie myślę głównie o naciskach na lekarza zakładowego, żeby wystawiał jak najmniej zwolnień, lecz choćby na przykład o kierowaniu na badania kontrolne osób, które chorowały powyżej miesiąca bez przerwy. Po prostu — o

lepszej organizacji i propagandzie badań profilaktycznych wśród załogi.

I bez tego zresztą skromna kadra lekarzy przemysłowych ma co robić w zakresie profilaktyki. Wprawdzie nie zdarzają się już przypadki, aby lekarz zakładowy podczas badań wstępnych obywatela przyjmowanego do pracy nie dostrzegł braku nogi lub oka lecz bywa, że pracownik zmieniający stanowisko pracy, w obrębie tego samego zakładu, nie jest na badania wstępne kierowany, wbrew przepisom. Duża fluktuacja załogi również bywa powodem opóźnień w badaniach wstępnych. I wreszcie jeśli stanowisko pracy wymaga od zatrudnionego specjalnych dyspozycji, czyli badań lekarskich specjalistycznych, wówczas okazuje się, że na ogół przychodnia zakładowa nie jest do tego przygotowana. Ludzi kieruje się do przychodni specjalistycznych lecznictwa otwartego, gdzie wyczekują godzinami, a i dniami czasem, w jednej kolejce z rencistą i gospodynią domową.

O bezpośredniej zależności stanu zdrowotnego załogi od dokonywanych na czas badań profilaktycznych (wstępnych, okresowych i kontrolnych) przekonała się na przykład poniatowska „Eda”, gdzie — wedle informacji Przemysłowego ZOZ w Lublinie — badania te od lat są zaniedbywane, z różnych przyczyn, ale głównie wskutek braków kadrowych w przychodni zakładowej. Jeśli idzie o absencję chorobową, „Eda”, zakład przecież ani nie budowlany ani nie transportowy, lokuje się na jednym z pierwszych miejsc w województwie.

Niestety, tutaj wraca jak w błędnym kole sprawa kadry przemysłowej służby zdrowia. Nie tak dawno poszukiwano trzech lekarzy dla WSK w Świdniku. Zgłosiły się dwie lekarki — fabryka z miejsca oferowała mieszkanie! — doświadczone w zawodzie kobiety. No i bardzo dobrze. Charakterystyczne jednak, że nie zgłosił się żaden młody lekarz czy lekarka. Młodzi absolwenci studiów medycznych nadal traktują medycynę przemysłową jako coś gorszego, z czego ja się śmieję po prostu, bo wygląda na to, że młodym lekarzom zbywa na mieszkaniach!

Jeśli już zabieramy się za przemyślenie kwestii dotyczących przemysłowego personelu medycznego, to można by także położyć nacisk na preferencje lekarzy i pielęgniarek zatrudnianych w „głębszym” terenie. Dzisiaj bowiem wygląda to tak, że istnieją skupiska przemysłowej kadry medycznej w większych ośrodkach (Lublin, Puławy) i w większych fabrykach (Azoty, WSK, FSC). Tutaj nasyce nie można by uznać za względnie wystarczające „Białe plamy” natomiast występują tam, gdzie zakłady niewielkie i porozrzucane po okolicy. Byłaby to również kwestia polityki inwestycyjnej — skierowanej na przychodnie międzyzakładowe, mieszkania dla personelu medycznego.

Jeśli bowiem nie potrzeba nam dzisiaj Judyńców ze wszelką ceną (bo zresztą i skąd ich brać), to potrzeba jedynie Judyńców — racjonalistów, którzy rozumieją, iż wskutek przyspieszonego rozwoju przemysłu i budownictwa w Polsce medycyna pracy ma szansę wkrótce stać się specjalnością modną, rozchwytywaną oraz intratną. Nie pojmuję ludzi, którzy myślą inaczej, a jeśli są tacy, zapraszam do dyskusji.

**W** PRAWDZIE sposób porozumiewania się na odległość z czasów Popiela, przy pomocy wici, jest już prawie nieznany, to przecież wciąż jeszcze okazały się użyteczny w wielu gminach, a nawet w Lublinie. Rozpalone na dachu wieżowca Kalinowszczyzny „C” ognisko mogłoby przynieść spore usługi w bezpośrednim porozumiewaniu się z Krakowskim Przedmieściem, choćby to były wieści wysyłane jednostronnie. W tej samej sytuacji są nowe dzielnice i osiedla w wielu miastach. Telefonizacja nie wyprzedza budownictwa.

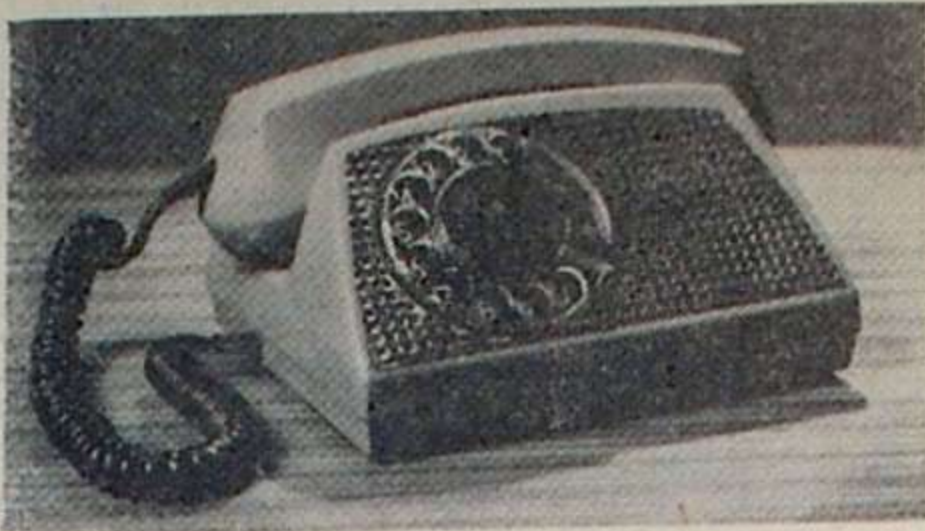
Niemal w każdym miasteczku i jego najbliższej okolicy zapóźnienie w tym względzie jest widoczne. Po zmianach administracyjnego podziału kraju przekonał się jeszcze bardziej, że mamy do pokonania wiele trudności, przedtem tak dotkliwie nie odczuwanych i nie uświadamianych.

Gmina kontaktowała się ze światem za pośrednictwem miasta powiatowego, a ono wojewódzkiego. System ten wymagał dużo aparatury i obsługi, ale rolę spełniał raczej skromną i lokalną. Statystyki są bezwzględne. Moi rozmówcy w warszawskim Zjednoczeniu Przemysłu Teleelektronicznego dysponują liczbami nieco korzystniejszymi niż rocznik statystyczny, bo bieżącymi. Niewiele otuchy można jednak czerpać z tych danych, skoro w Polsce przypada zaledwie 78 aparatów telefonicznych na tysiąc mieszkańców. Nie chodzi tu zresztą wyłącznie o numery prywatne, ale wszystkie — łącznie z zakładowymi. W tej sytuacji szczególnie upośledzona jest wieś, a pewnego rodzaju idea wciąż jeszcze jest hasło: w każdej wiosce przynajmniej jeden telefon. W styczniu ub. roku na wsi polskiej przypadało jedynie 17 aparatów na 1000 mieszkańców, a w miastach prawie 116. Dysproporcje ogromne.

Z danych statystycznych z początku roku 1974 wynika, że mniej od nas posiadały na tysiąc mieszkańców tylko Jugosławia (48), Rumunia (43) i Albania. NRD i Czechosłowacja miały sytuację dwa razy lepszą od nas — 137 i 161 aparatów. Od tego czasu uczyniły poważne postępy. W tym samym czasie USA miały na 1000 obywateli 655 aparatów, Szwecja — 582, Szwajcaria — 554, Wielka Brytania — 340, Holandia — 320, Francja — 217, a Hiszpania — 181.

Może ktoś powiedzieć, że aparat telefoniczny nie jest artykułem pierwszej potrzeby, że łatwiej się bez niego obejść niż np. bez wizytowego ubrania czy mieszkania. To prawda, choć niepełna. Rolnik ma coraz więcej spraw do załatwienia w urzędzie gminnym, agendach spółdzielczości, leśnictwa, niekiedy także w placówkach wojewódzkich. O użyteczności telefonu w mieście chyba nie trzeba pisać.

Przed 20 laty na założenie telefonu oczekiwało „tylko” 28 tysięcy Polaków, obecnie szacuje się, że za własnymi aparatami tęskni prawie 600 tys. rodzin. Mowa jest tylko o tych, którzy dopełnili wszelkich formalności, wnosząc przedpłatę w wysokości 2560 złotych. Jest więc wielokrotnie wyższa niż przed laty, a jednak nie gasi pożądania. Moi rozmówcy w Ministerstwie Łączności i wspomnianym Zjednoczeniu wcale nie ukrywali, że aspiracji tych rychło spełnić się nie uda. Istnieje więc wyraźna dysproporcja między potrzebami a możliwościami. Sprawa oczywista, że liczba chętnych jest w rzeczywistości trzykrot-



# Co z telefonami

nie wyższa, ale nierealność pragnienia powstrzymuje ludzi od próby zawarcia umowy z odpowiednim urzędem telekomunikacyjnym. Choć sama świadomość, że w ścianach z fabryk domów znajdują się już kanały do przewodów, każe myśleć o własnym telefonie. No właśnie...

Gdzie tkwią przyczyny tak wielkiego zapóźnienia? Co może przybliżyć możliwość uzyskania własnego telefonu? Co zapewni dobre automatyczne połączenia w kraju i z zagranicą?

Do odległej historii wracać nie chcę, do zniszczeń wojennych także, choć i to należy brać pod uwagę przy ocenie niedostatku. W Ministerstwie Łączności znajdują się całe tomy cierpliwych jermiad, analizujących przyczyny telekomunikacyjnego zacofania, krocie elaboratów, z reguły w planach poprzednich pięcioletek nie uwzględnianych. O ile jeszcze przed ćwierć wiekiem planowano 1,68 proc. budżetu inwestycyjnego kraju na telekomunikację, to w poprzedniej już tylko 0,71 proc. Po prostu nie doceniano tej formy porozumiewania się, jako narzędzia sprawnego zarządzania państwem, rozwoju nauki, wymia-

ny informacji ekonomicznej, technicznej i kulturalnej, zaoszczędzenia delegacyjnych peregrinacji niskiej, a nieraz i wysokiej rangi urzędników.

W 1972 roku Biuro Polityczne KC PZPR, a następnie Rada Ministrów podjęły zasadnicze uchwały o rozwoju telekomunikacji, a w roku minionym rząd to potwierdził i rozszerzył, choćby zarządzeniem, że każda z 2362 gmin musi do roku przyszłego otrzymać połączenie teleksowe. Wzrosły nakłady i będą się nadal zwiększać, byle tylko budownictwo mogło przetworzyć wyasygnowane środki w gmachy nowoczesnych centrall tele-

względniące najnowsze osiągnięcia polskiej i zagranicznej myśli w dziedzinie teleelektroniki.

Decyzją rządu, zakłady służące tej dziedzinie zostały wyłączone z gestii Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, gdzie stanowiły margines zainteresowań, do resortu łączności. Tu z kolei stanowią one główną dziedzinę wytwórczości, a Zjednoczenie Przemysłu Teleelektronicznego je hołubi, bo od ich szybkiego i nowoczesnego rozwoju właściwie wszystko zależy.

Przed wszystkim zakupiono we Francji dwie licencje centrall telefonicznych: na produkcję elektromechanicznej typu „Pentaconta”

nicach i osiedla abonentach.

Po Stanach ponii i właśnie obecnie czwartą część, który opadł do ręki „centra” Przed dwoma ich wytworzeni Zakładach Telekom-Teletra” współdziałają nika, a także sją, oraz Inst. roku ubiegłym produkcji takż cze Urzędzeń 7 licy. Centrala

# Hallo... hallo...

fonicznych, fabryki urządzeń telekomunikacyjnych itp. Odmieniło się, ale na efekty trzeba będzie poczekać.

Zastępca naczelnego dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Teleelektronicznego, mgr inż. Kazimierz Kimszal, przedstawił mi obszernie system, jaki istnieje obecnie. Dominują linie napowietrzne, co uniezwolnia wprowadzenie systemu połączeń zwielokrotnionych. Posiadamy liczne sieci lokalne, związane z jednej strony dookoła z pojedynczymi aparatami telefonicznymi, z drugiej z najbliższą centralą międzymiastową, ta centrala z następną i jeszcze kolejną. W takiej sytuacji w ostatnich latach dokonano sporego wysiłku, aby przynajmniej między głównymi miastami można się było łączyć automatycznie. Ale ta automatyczność polega jedynie na sztuce ominięcia centrall międzymiastowych, a połączeniu odrębną wiązką centrall dwu miejscowości. Chociaż służyć to będzie jeszcze sporo lat, należy jednak ten zabieg traktować jako tymczasowy. Podniesienie telekomunikacji w Polsce do poziomu światowego prowadzić może tylko poprzez rozwiązania globalne, u-

oraz najnowocześniejszej na świecie elektronicznej o nazwie „Cite-dis”. Tej ostatniej wystarczy jedna czwarta tych pomieszczeń, jakich wymagają centrale elektromechaniczne. Profitów jest jednak więcej. Stosuje się tu w aparatach klawiszowe wybieranie numerów, a więc szybsze i wygodniejsze. Zapewniono mnie, że abonent zyskuje okresowe i automatyczne kierowanie do innego numeru, może stosować skrócone wybieranie numerów. Nie jestem elektronikiem, nie pojąłem istoty tego osiągnięcia, wiem tylko, że jest ono dużym udogodnieniem dla użytkownika, który ponadto może szybko sprawdzić kto dzwonił, jeśli za późno podszedł do aparatu lub był nieobecny w domu, może też zaprogramować automatyczne budzenie. Wykluczona jest także możliwość podsłuchania rozmów. Centrale te posiadać będą od pięciu do piętnastu tysięcy numerów. Pozwala to ponadto po jednym torze przesłać 30 rozmów jednocześnie. Wkraczamy więc z wolna — jak mówią fachowcy — w system telefonii wielokrotnej z modulacją kodowo-impulsową. Bardzo dobrze sprawdza się ona w dużych dziel-

ciu tysiącach się już przekroczył dzielnicowych wyników kowie. Centrala otrzymają w caci Białą Podla statni będzie : wem zarówno łączenia międ: powodu buduj Zagłębia Węgl: czej należy : do następnej j Również na buduje się „p zakład w Oża szłym ekipy r dernizujące s połączeń otrzy sze partie ka: nił wielokrotn wany obecnie wo zniknie. I mu telefonii można przepro kilka, kilkana: set rozmów p komunikacyjn: torów w jedn: kor. Nie jest t: cencji, ale i: myśli technicz

# oko-lice sztuki

## Dekoracja i sztuka

**P**OWSTAJE u nas ostatnio dużo obrazów przedstawiających to i owo z życia polskiego codziennego i odświętnego, co właściwie powinno cieszyć i chyba cieszy ludzi, którzy nie kontaktując się ze sztuką z potrzeby ducha i oka, stawiają przed nią bardzo konkretne i ważne cele praktyczne, a może nawet jeszcze

większe. Idea sztuki komentującej rzeczywistość, uwrażliwionej na sprawy moralne państwa Kowalskich, jest także bliska autorowi tego tekstu, co niejednokrotnie już poświadczał. Z tym większym zaskoczeniem przychodzi mi stwierdzić jałowość poznawczą i artystyczną zdecydowanej większości obrazów „przedstawiających to i owo”. Pojawiają się w tych pracach ludzie, ale są to manekiny bez charakterów, albo mniej lub bardziej interesujące rozwiązanie problemy formalne. Maluje się kształty faceta, a nie sprawy człowieka sygnalizowane znakiem plastycznym. Jeśli natomiast ktoś z rozpedu wskoczy na grunt kwestii moralnych, to albo wyczerpuje się na stereotypie „egzystencjalnego kocikwiku”, albo rzuca nam pod oczy wielce doniosły problem nagiego efeba w zatłoczonym autobusie z napisem „Przewóz pracowników”.

Podobne uwagi nasuwają się na widok plonu — tak to się najczęściej określa — przeróżnych plenerów i konkursów, organizowanych z myślą o upamiętnieniu plastycznym uroków ziemi naszej i dzielnych obywateli. Nad częścią tej produkcji wsi brzytwa z firmy „brak przekonania”. Skąd się biorą tego rodzaju działania? Ze słabości i braku charakteru poszczególnych malarzy i grafików? Zapewne. Czy zastanawiał się jednak ktoś nad tym, jaki udział w owym smutnym procedurze ma klimat życzliwości, otaczający wszystko, co strawne, zrozumiałe i utylitarne?

Ten klimat istnieje, tworzą go m.in. opinie „estetyczne” preferujące plastikę użytkową kosztem twórczości koncepcyjnej, splatającej kwestie języka artystycznego z refleksją humanistyczną. Słyszysz się: malarstwo sztalugowe czy konceptualizm to zabawa klerków, kame-

ralnych „dumaczy”, pogrobowców romantycznych mitologii, dziś liczą się plastycy, którzy czynią nasze otoczenie piękniejszym, estetyczniejszym (!), którzy potrafią zgrabnie zaprojektować plakacik, but, fotel czy mozaikę na ścianie

mówią się, obraz także ma rację bytu.

Owszem, artysta może brać udział w dekorowaniu, propagowaniu, uwiecznianiu, informowaniu. Robił to przez setki lat i robi dzisiaj. Normalna sprawa. Ale nie wolno zapominać, że artysta jest indywi-

dualnym obserwatorem antropologicznej sfery rzeczywistości — o tej zasadzie statusu autentycznego artysty.

Prawo do odmienności (choćby obyczajowej), indywidualny punkt widzenia — czy są to elementy sprzyjające głębokiemu uczestnictwu twórcy w sprawach przenikających i kształtujących życie społeczeństwa, czy też przeciwnie — zamykają go one w azylu środowiska?

W kwietniu w sali lubelskiego BWA pokazał swoje obrazy Janusz Przybylski, malarz i grafik, którego szczupły tors ugina się od krajowych i zagranicznych nagród i medali artystycznych. Ma 38 lat, pochodził już nieco po świecie, zna Europę, Stany Zjednoczone, ale najbardziej chyba interesuje się tym, co dzieje się między Odrą a Bugiem. W notatkach, które prowadzi od 1968 roku, znajduje się taka refleksja:

„Pisząc o tworzeniu nie można pominąć tego, co polskie. Geniusze nie stają poza swą narodową tradycją, są najwyższym dokonaniem



proszonych  
Ja-  
steśmy o-  
na świe-  
techniki pro-  
elektronicznych.  
poczęliśmy  
wskopolskich  
„Te  
Politech  
warszaw-  
W  
do ich  
Wytwór-  
w sto-  
o pic-

Wszystko to potwierdza się w czasie mojej wizyty w Radomskiej Wytwórni Telefonów. Z niewielkich szop polsko-szwedzkiej spółki, która w 1938 roku zorganizowała tam montownię telefonów, w ostatnich dwudziestu latach nastąpił tu ogromny rozwój. Obecnie — po wybudowaniu nowego zakładu na Gółbiowie i rozpoczęciu dalszych inwestycji — zdążyła się w Radomiu do wyprodukowania 2 milionów aparatów w roku przyszłym. Inżynier Bohdan Motyl, dyrektor do spraw produkcji, zapewnił mnie, że mimo eksportu 700 tys. aparatów rynek wewnętrzny będzie wystarczająco zaopatrzone.

Ponieważ szanse eksportu są wprost nieograniczone, a za unowocześnienie i zagęszczenie krajowych sieci telefonicznych wzięto się obecnie na serio, produkcja aparatów powinna się podwoić, ale to zależy od tzw. mocy produkcyjnych radomskich przedsiębiorstw budowlanych. Opóźnienie wybudowania dalszych obiektów może tę szansę zmarnować lub znacznie oddalić.

Najbardziej jednak interesowały mnie nie kłopoty zjednoczenia i wytwórni, ale to czy elektronicznym centralom telefonicznym sprostać nowoczesnością aparaty telefoniczne. Obawy moje rozwiano i w Warszawie i w Radomiu. Przekonałem się o sprawność aparatów „Storczyk”, „Jaskier”, „Mak”, „Aster”, „UB-664” i „Unifon”. Wszystko to jednak w zasadzie już znamy. Najważniejszy w tym wszystkim jest aparat „Chaber”, przewidziany do współpracy z centralą elektroniczną „Citedis”. Posiada on zamiast tarczy klawisze z układem pamięci. Charakteryzuje się ponadto tym, że impulsy w czasie łączenia następują o wiele szybciej. W roku obecnym wchodzi do produkcji aparat klawiszowy z tymi samymi zaletami, dostosowany także do central tradycyjnych. Tak więc stopniowo wprowadzaniu central elektronicznych towarzyszy odpowiednie zwiększenie produkcji „Chabrow”. To ważne. A ponadto projektanci polscy, razem ze specjalistami firmy „Face Standard”, pracują nad nowym typem przyszłościowego, bardzo taniego aparatu, współpracującego z automatyczną centralą elektroniczną.

Nie można jednego dnia wymienić istniejącego systemu, który w spadku posiada także telefony z korbkami i centrali z kłapkami, na układy elektroniczne. Wytwórnie w Poznaniu i Warszawie przysporzą corocznie central elektronicznych dla 600 tys. numerów. Zrównoważenia potrzeb indywidualnych i instytucyjnych z możliwościami można się spodziewać dopiero w przyszłej pięcioletce. Jednak nie będziemy jeszcze należeć do czołowych krajów Europy, gdy chodzi o liczbę aparatów na tysiąc mieszkańców, bo przecież i kraje, które gonimy, także rozwijają swo-

Je systemy telekomunikacyjne. Jedną z optymalnych wersji zakłada, iż w roku 1990 już 95 proc. mieszkań w mieście, a jedna trzecia na wsi posiadać będzie telefon. Byłoby to dopiero 305 aparatów na tysiąc mieszkańców. Minimalistyczny wariant planistów, liczący się z dotychczasową praktyką i jej pochodnymi, przewiduje 248 numerów na tę samą liczbę Polaków. Wiele jednak już zmienia na korzyść naziemna stacja łączności satelitarnej w Psarach, w Górach Świętokrzyskich. Oprócz odbioru programów telewizyjnych i radiowych stanie się nieocenioną pośredniczką w bezkablowej łączności telefonicznej z zagranicą, nawet z innymi kontynentami.

Dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Lublinie — Kazimierz Mieszczak — w rozmowie z reporterem widzi wyraźnie opóźnienia. W samym Lublinie np. na tysiąc mieszkańców w roku minionym przypadało tylko 76 numerów i to łącznie z posiadanymi przez zakłady pracy. O 400 aparatów wzbogaciły się w drugim półroczu ub. r. Tatary. 4 600 numerów otrzymują teraz LSM i Kołminek. Z czteroletnim opóźnieniem przystąpiono do budowy centrali telefonicznej na Kalinowszczyźnie. Mimo to jednak pod koniec roku przyszłego, a na pewno w 1978, placówka ta przysporzy miastu 5 tys. numerów. Najważniejsza budowla stanie jednak na Czechowic i odciąży ona także śródmieście. Będzie to centrala typu „Pentaconta” która w przyszłości swój układ rozszerzy do piętnastu, a następnie trzydziestu tysięcy numerów. Mimo że sporo robi się już i robić będzie w poszczególnych gminach, województwo lubelskie do przodujących długo jeszcze należeć nie będzie. Podobnie rzecz się ma w województwach sąsiednich.

Zarówno z rozmów warszawskich, jak i lubelskich nasuwa się jeden wniosek: bez szybkiego wydzielenia odpowiedniej mocy przedsiębiorstw budowlanych do dyspozycji inwestycji telekomunikacyjnych, widocznej i odczuwalnej poprawy w najbliższych latach oczekiwać nie należy. To prawda, że przede wszystkim potrzebne są mieszkania, ale...

Najważniejsze kroki, przygotowujące grunt pod nowoczesny system łączności w Polsce, zostały w ostatnich trzech latach poczynione. Wracając do teleelektroniki naukowej i praktyki, powstają najnowocześniejsze urzędnice, są środki na inwestycje. Muszą teraz powstawać mądre geograficznie rozmieszczone budowle, które te aparaty pomieszczą, stając się zarówno środkiem sprawnego zarządzania środkowo-wschodnim makroregionem, jak również ważnym elementem życia prywatnego mieszkańców tego obszaru.

# KSIĄŻE

## SIEDMIOGRODU



# W BRZEŻANACH

Zdzisław Czapliński

**W** DNIU 27 marca 1976 roku minęła 300 rocznica urodzin wybitnego wodza walk wolnościowych na Węgrzech (1703—1711), księcia Siedmiogrodu (1704—1711) — Ferenc Rakoczi'ego II, którego losy związały się z Polską przez długie lata.

Ten wybitny mąż stanu był jednocześnie osobą wielce kontrowersyjną dla historyków i naukowców. Kim był w rzeczywistości? Szlachcicem, który wystąpił przeciwko scentralizowanej monarchii Habsburgów? Nacjonalistą, który chciał zapewnić władzę węgierskiej arystokracji? „Wodzem wolności”, który chciał wywalczyć odpowiednie warunki polityczne dla postępu społecznego? „Przyjacielem ludu”, który na czele powstańczych szeregów chłopskich walczył o ich prawa społeczne?

Ojciec Ferenc Rakoczi'ego II, Ferenc Rakoczi I, brał udział w spisku przeciwko Habsburgom, na którego czele stał Wesselényi. Od stracenia uratowały go jedynie wy-

sokie koneksje rodzinne. Po śmierci ojca matka Ferenc I wyszła za mąż za Imre Thokoely'a, który na czele powstańców, niezadowolonych z cesarskich rządów, dążył do utworzenia niezależnego od Wiednia państwa węgierskiego. Chciał tego dokonać głównie przy pomocy Francji, Turcji i Siedmiogrodu. Zwolennicy Thokoely'ego, zmuszeni do odwrotu, przez dwa lata bronili się w twierdzy Munkacséva, której obroną dowodziła matka Ferenc, Ilona Zrinyi.

Po zdobyciu twierdzy przez Austriaków 12-letni F. Rakoczi II trafia do Wiednia, tam kończy gimnazjum, a następnie zdobywa wiedzę na słynnym Uniwersytecie Karola w Pradze, gdzie studiuje logikę, matematykę metafizykę, fizykę i etykę oraz inżynierię wojskową. Wiedzę swoją pogłębia później we Włoszech, studiując historię, geografii i geometrię. W 1694 roku żeni się z Amelią Hessen-Rheinfels,

Dokończenie na str. 10



Janusz Przybylski

Fot.: A. Polakowski

swego narodu i swojej epoki. Najdoskonalszym ucieleśnieniem geniuszu artystycznego narodu jest ten, kto potrafi łączyć tradycję narodową z aktualnymi osiągnięciami epoki. Nie wolno się od nich bronić, kiedy padają na temperament narodowy dostatecznie silny, on je asymiluje i przeistacza. Trzeba mieć odwagę wyniesienia tego co narodowe na arenę ogólnoludzką, bo tylko wtedy jest szansa indywidualnego „zaistnienia artysty”.

W Lublinie Przybylski pokazał malarstwo z kilku ostatnich lat, obrazy różne pod względem formuły stylistycznej, choć nie tak bardzo, aby z miejsca nie rozpoznać autorstwa — w każdym przypadku. Te wcześniejsze, z początku dekady, to sporych rozmiarów acryle o bardzo delikatnie i nieznacznie komplikowanej metaforyce których centralnym motywem jest postać ludzka, zaopatrzone w stosowne antrybuty i usytuowane — często — w scenarii zielonej łąki. Siedzi np. jakiś facet na ławeczce, naokoło mocna zielen, malowana w stylu „jak żywa”, właściwie sama radość z płótna sączy się w nasze oczy zmęczone szarością murów miejskich i właściwie wszystko byłoby fajnie, gdyby nie te grube sznury krępujące nogi człowieka. Albo: taka sama trawa, a na niej mężczyzna z

tranzystorem pod ręką. Sam, tylko z przyjacielskim aparatem, wydronionym przez wielu, a tutaj jak-koś zycielwie potraktowanym.

Tego rodzaju płótna przypominają o inwazji nowej figuracji na Polskę, ale nie dają się ulokować w ramach tego nurtu zupełnie, coś przeszkadza w operacji szufladkowania. Forma? Tak, bo malarstwo Przybylskiego ma ów dukt wyróżniający, zresztą w kraju jest już coś w rodzaju klubu praktycznych miłośników twórczości tego autora, mówiące brutalnie — naśladowców. Niezależność obrazów ucznia Kobzdej wynika jednak w równej mierze z dyskretnie kreowanej, nostalgicznej atmosfery emocjonalnej, zdecydowanie obcej nowej figuracji, a przy tym — czy ja wiem, może polskiej w swym charakterze?!

W twórczości Przybylskiego co krok spotykamy motywy osobiste, czy autoportretowe. „Rodzina” przedstawia autora i jego żonę i córkę: realistycznie skonstruowane głowy tkwią na linearnie zbudowanych sylwetkach, na rusztowaniach i tego rodzaju komponowaniu trochę niepokoi, podsuwa dwuznaczne interpretacje.

Nie tak dawno namalował Przybylski serię „Dokumentów” i są to obrazy tyle znakomite pod względem formalnym, co okrutne w

przesłaniu ideowym. Świat dotychczasowych płócien rozpadł się na części, niektóre z nich — zielone łaki — zniknęły zupełnie, na ich miejsce pojawiły się wizerunki przedmiotów czy spreparowanych zwierząt („Dokument III”). Pokrewna chronologicznie seria „Gablót” z 1974 roku kontynuuje i rozwija tę tendencję, wskazując zarazem na zainteresowanie autora konceptualizmem.

Janusz Przybylski obserwuje życie, sprawy codzienne, siebie samego, swoich najbliższych i sztukę. I z okrucich tych obserwacji „robi malarstwo”. Wynikające z indywidualnych doświadczeń autora, mówi ono o sprawach obchodzących nie tylko środowisko artystyczne. Więc gdyby mnie zapytano, co to jest sztuka, odpowiedziałbym: to, co robi Przybylski. I przypominałbym jeszcze takie oto słowa artysty:

„Bez ryzyka nie ma żadnej drogi do sztuki. Ryzyko bowiem tkwi nie w „rzeczach”, które tworzy artysta, ile w nim samym. Trzeba nie bać się, jak ignoranci i ludzie bez indywidualności, nawet zatracić siebie”.

IJK

Kamena str. 9

# Wesoły obrót rzeczy

**P**OSTĘPUJĄC jak Miron Białoszewski mógłbym stwierdzić, że nie istnieje dla mnie poezja Mirona Białoszewskiego. Oczywiście autor wypowiada się w ten sposób o poezji innych i właśnie tym daje mi upoważnienie do wyznania zawartego w powyższym zdaniu, ale z upoważnienia nie skorzystam. Niech będzie, że dla przekory.

A właściwie to ze strachu. Iż bowiem potentatom współczesnej krytyki i filiarom życia literackiego musiałbym się narazić, chcąc powiedzieć prawdę, że ucałe nie przemawiają do mnie te leksykalne i fleksyjne dziwactwa porzuczone wyobraźniowości, a oparte często-gęsto tylko na przypadkowo uchwyconej grze słów i dia niej konceptualne. Żywy, żyjący język? Weałe kolokwializm nie uważam za osiągnięcie, jako że nie prostszego niż gwarowy autentyk remontować w tekst utworu, a nawet neologizmy „autentyku” komponować z własnego pomysłu. Poezja to przede wszystkim próba generalnego ujęcia, wszelki unik od tej próby niech sobie potrąca o efektowne opalizowania i modulacje, nie powie mi nic o człowieku. Była kiedyś

taka dziecienna zabawa, która polegała na dorysowywaniu brod i wąsów sfotografowanym postaciom, najlepiej kobiecym. Białoszewski dorysowywuje wasy słowom i tym bryluje u krytyków zachwyconych „poezią rupiej”. W zwykłym wyrazie, który postada „e” doróbmy temu „e” ogonek — a jakaż wyniknie frajda!

Nie chcę powiedzieć, że w żywiole słowa Białoszewskiego nie się nie dzieje. Dzieje się. Tylko jest to zjawisko w zakweste warsztatu, próby, a więc brulionu. Na pytania, czy wierszy nie wyrzuci do kosza, autor odpowiedział, że „oczywiście”. Więc wyrzuci za mato. A przynajmniej zbyt wiele tekstów dostaje się do druku w formie tymczasowej, niedokształtowanej, rudymenarnej. I nie zawiera się w tym wymaganiu, by Białoszewski „sklasycyzował”. Rzecz w tym, że oprócz trafiających się tam oryginalności za dużo jest oryginalniaków, pozornych odkryć wyolbrzymionych akustyką odbiorczą nastawioną na aprioryczną aprobatę, skoro to wszystko jest takte ujmująco „zwykłe” i „bezpretensjonalne”.

Do diabła, aprobatę szczerą! Nawet tak! Kilkanaście lat temu, kiedy Białoszewski był w Lublinie razem ze

swym teatrem, to znaczy krzesłem, na którym wystukiwał swoje teksty, usłyszałem jak pona pan w starszym wieku (nie, Czytelniku, za wczynie się domyślasz, nie M.B.R.), zwróciła się swej przyjaciółce, że robi to na niej większe wrażenie niż Słowacki. Powtarzam: było to wyznanie całkiem szczerze, nie wywołane lokalnym snobizmem, ponieważ przeznaczone było dla ucha wyłącznie jednej osoby, a ja tylko przy padkowo dzięki nie stepionemu jeszcze organowi słuchu je wylotłem. Zresztą i Białoszewski może wówczas był lepszy. Dla mnie tak. Po zakończeniu spektaklu zaprosił widzów na następne spotkanie do Warszawy podając adres swego teatru: Tarczyńska 7, mieszkania 13. „Pierwsza liczba kabalistyczna, druga fatalna”. Tak, wołę Białoszewskiego „satanicznego”.

Ale nie tamta publiczność! Cóż bowiem szept do ucha sąsiadce siedzącej obok, wobec spontanicznej i gromadnej reakcji całej sali, a nawet uczestników spotkania biorących w nim udział poprzez krąg okienną, co było do podziwiania dnia 8 kwietnia w Muzeum Czechowicza. Oto percepcja łacie poetycka. Widocznie „Arcus” dnia tego nie był w

całkowitej dyspozycji jako placówka zbiorowego bawienia, skoro pełnią zapotrzebowania na zdrowy śmiech dostarczone ze wszystkich przemieszanych na teren Muzeum. Dokładnie nie przytoczę, ponieważ stenogramu stamtąd nie wyniosłem, natomiast jeśli zgodzimy się na małą tolerancję wobec nie znaczących szczegółów, to sama rzecz tak się oto przedstawiała.

Miron Białoszewski (czyta kwestię jednego z bohaterów opowiadania): „Lutek jestem”.

Publiczność: „Hiii!”

M.B.: „... i rapali papierosa”

P.: „Chachacha...”

M.B.: „... lata ptaszek po ulicy...”

P.: „Heeee ...”

Obowiązkowo co najdalej czwarte słowo miało być katalizatorem śmiechu i takim się stawało niezależnie od tekstu, kontekstu, podtekstu i pretekstu. Co dziwniejsze, sam maestro w tym kluczu poślagnął resztę muzyczki i tak szto opowiadania, w którym nawet i o śmierciach była mowa. Śmiechem też zostało przyjęte jego uchylenie się od odpowiedzi, a już ogólne gaudium wywołała zła słyszalność głosu pewnego dy skutanta, który przez nadmiar obecnych mówił z oddalenia.

Watył mi się zrobiło z powodu niemożności przystosowania się do sytuacji. Z tym wstydem w czasie przerwy w dyskusji wyszedłem.

Zygmunt Mikulski

Dokończenie z str. 9

córką księcia Rheinfelsi, wielkiego przyjaciela Francji, osiedlając się w dziedzicznych włościach w Saros.

Tradycje rodzinne są przezeń pieczołowicie kultywowane. One to już w młodych latach podsuwają mu myśl zbrojnego wystąpienia przeciwko Habsburgom. Próbuje więc zapewnić sobie pomoc króla Francji Ludwika XIV, ale plany te zostały zdradzone, a on sam osadzony w sławetnym więzieniu w Beesuhely.

Skazany na śmierć — uciekł, ścigany austriackimi listami gończymi. Znalazł schronienie w Polsce, w potężnym zamku rodu Sieniawskich, w Brzeżanach. Polacy odegrali wielką rolę w jego dalszym życiu. Jego największą miłością była księżna Sieniawska, a w 1711 roku został uratowany przed pojmaniem przez austriackich dragonów dzięki ostrzeżeniu ze strony ludności polskiej. Jego najbliższy przyjaciel i doradca, hr. Bercsenyi, uratował się z austriackiej zasadzki tylko dzięki poświęceniu polskiego giermka, który zapłacił za to własnym życiem.

Przebywając w Brzeżanach, F. Rakoczi II rozwija szeroką działalność polityczno-dyplomatyczną. Zapewnia sobie poparcie dla swych planów powstańczych ze strony wielu możnych rodów polskich. Zdecydowane pomocy oczekuje jednak od Francji, ale Ludwik XIV nie wierzy w pełne powodzenie planowanego powstania i poprzez ambasadora Francji w Warszawie, markiza Bonanca, przekazuje mu jedynie pomoc finansową.

Podczas gdy Rakoczi II rozwija swoją akcję dyplomatyczną, węgierscy chłopcy i drobna szlachta raz po raz przysyłają do niego posłów z wezwaniem, aby powrócił do kraju i stanął na czele rosnącego w siłę ruchu powstańczego. Wreszcie po paroletnim pobycie w Polsce wyruszył F. Rakoczi II na Węgry, ogłaszając jeszcze w Brzeżanach swój słynny manifest wzywający do powstania. Powstanie jednak upadło i Rakoczi wraz z trzema tysiącami kuruców znów schronił się w Brzeżanach.

Przez cały okres powstania, na którego czele stanął jako wódz w czerwcu 1703 r., przez Polskę przechodziła ogromna większość powstańczej poczty dyplomatycznej oraz pomoc finansowa z Francji. Z Polski dochodziły posiłki zbrojne, broń i amunicja. Jeszcze kilka lat po upadku powstania, w 1716 r. p. czas posiedzenia Rady Cesarzkiej, z oburzeniem stwierdzono, iż: W Królestwie Polskim były dotąd knowane zaczątki każdej rebelii na Węgrzech.

Jaki był stosunek Rakoczi'ego II do wolnych chłopów? Czego od nich oczekiwał i co im obiecywał? Odpowiada na to członek Węgierskiej Akademii Nauk, Bela Koepeczi, w artykule opublikowanym na łamach dziennika węgierskiego „Magyar Nemzet”:

Sam dobrze wie (Rakoczi II — przyp. Z. Cz.), że pomiędzy szlachtą i ludem istnieje naturalna nienawiść. Nie ulega przy tym wątpliwości, że sam Rakoczi II reprezentuje interesy szlachty. Mimo tego podejmuje inicjatywę wolnego chłopstwa, mając nadzieję, że dla walk niepodległościowych uda mu się pozyskać szerokie kręgi węgierskiej szlachty.

## KSIĄŻĘ SIEDMIOGRODU W BRZEŻANACH

Rakoczi II pisze na ten temat w swoich pamiętnikach: Dodawał mi odwagi i umacniał w działaniu zamiar, że zdobędę sobie zaufanie ludu. O tym, że podejmując inicjatywę chłopstwa, chciał wyrzucić swego rodzaju polityczną i moralną presję na szlachtę, świadczy jego odezwa wzywająca *wszystką szlachtę i ludzi każdego stanu zdolnych do zbrojnego ruszenia do przyłączenia się do ruchu powstańczego*.

Rakoczi II dążył do stworzenia niezbędnych podstaw ekonomicznych dla prowadzenia walk wolnościowych. Stara się w tym celu wykończyć wszystkie źródła krajowe oraz udział komitetów w finansowaniu ruchu powstańczego przez wprowadzenie dodatkowych podatków. Stworzył on nowoczesny system zinstytucjonalizowanej gospodarki dla zaopatrzenia swych szeregów powstańczych, które pragnie przekształcić w nowoczesną armię regularną. Podstawą tej armii mieli być przede wszystkim wolni chłopcy. Do walki przystępuje jednak w nadziei, że uzyska pomoc z zewnątrz.

W 1704 roku Rakoczi II liczy na połączenie swych oddziałów z armią bawarsko-francuską, atakującą Austrię od zachodu. Dlatego też prowadzi swych kuruców w głąb Słowacji. Jednak 13 sierpnia 1704 roku oddziały bawarsko-francuskie

ponoszą klęskę pod Hoechstadt, co oznacza wzmocnienie austriackie na froncie węgierskim i ostatecznie przynosi porażkę powstańców Rakoczi'ego pod Trnavą.

Przeigrana ta nie zalamuje jednak Rakoczi'ego. Podejmuje on z jednej strony zabiegi o uzyskanie dalszej pomocy finansowej od Francji (otrzymuje 50 tys. ludwików i kilkunastu oficerów francuskich), z drugiej strony pragnie doprowadzić do detronizacji Leopolda I Habsburga na węgierskim tronie, aby w ten sposób zapewnić sobie skuteczniejszą pomoc z zewnątrz oraz zachęcić węgierską szlachtę do udziału w ruchu powstańczym. W tym celu w 1705 roku zwołuje Zgroma-

zwrócić w Twe ręce honory nadane mi przez stany na Zgromadzeniu Narodowym w Szecseny... Tragiczne w tonie wystąpienie odniosło skutek. Zgromadzenie ogłosiło detronizację i wyraziło zgodę na ustanowienie pewnych podatków.

Jeszcze wielokrotnie próbuje Rakoczi szukać pomocy za granicą, głównie we Francji, a także w Rosji carskiej, jednocześnie kontynuując walki na terenie Węgier. Ścisłe są nadal jego związki z Polską: na mocy porozumienia warszawskiego w 1707 roku zgadza się przyjmując koronę polską, co jednak nie doszło do skutku wskutek stanowczego sprzeciwu wojowniczego króla Szwecji, Karola XII.

Na froncie węgierskim oddziały powstańcze doznają wielu klęsk. Decydujące były przegrane pod Trencinem w 1708 roku i pod Romhany w 1710 roku. Nie pomogło nawet przyznanie przez Zgromadzenie Narodowe w 1708 roku w Sarospatak wolności walczącym w szeregach powstańczych. Jest już za późno. Spustoszenia, jakich dokonuje na terenie Węgier armia austriacka, epidemia dżumy oraz antypowstańcza postawa większości węgierskiej szlachty — wszystko to jest zapowiedzią kresu walk wolnościowych.

Podczas gdy Rakoczi wyjeżdża do Polski na rozmowy z carem Rosji, Piotrem I, generał Sandor Karolyi za plecami księcia zawiera układ pokojowy z cesarskim generałem Jannensem Palfim, układ, który zapewnia przywileje szlachty węgierskiej, przywraca jej zagrabione dobra i urzędy, jednocześnie uznaje władzę cesarską Habsburgów na Węgrzech i w Siedmiogrodzie.

Rakoczi II znowu znajduje schronienie w Brzeżanach, następnie udaje się do Francji, a po zawarciu traktatu pokojowego między Francją i Austrią oraz śmierci Ludwika XIV zamyka się w klasztorze Grosbois. Po wybuchu wojny turecko-austriackiej w 1717 roku przyjmuje zaproszenie sułtana i zamieszkuje najpierw w Konstantynopolu, a później Tekirdag. Umiera w kwietniu 1735 roku.

Kim był Rakoczi II dla Węgrów? Mężem stanu, który — hołdując postępowej myśli społecznej owego okresu — pragnął stworzyć nowe państwo węgierskie w dolinie Dunaju, aby narody tam mieszkające mogły skutecznie przeciwstawić się potęgze Habsburgów i rozwiąć gospodarczo swój kraj, suwerenny i niepodległy. Jego postępowość, niezachwiana ideaowość, odwaga, patriotyzm, wrażliwość i wielkość moralna stawiają go w rzędzie najwybitniejszych działaczy wolnościowych Węgier.

Zdzisław Czaplinski

**S**ILNIK pracował równo. W samochodzie było ciepło, radio nadawało fajną muzykę i czułem zapach dziewczyny siedzącej obok. Przyjemnie było jechać w zimowym krajobrazie. Był początek lutego i zmierzchało. Różowy zachód mówił, że zima w ofensywie. Kątem oka widziałem profil dziewczyny. Podobała mi się, ale postanowiłem nie podniecać się jej obecnością, by nie pomyślała, że wykorzystuję sytuację.

Staralem się jechać płynnie i dbałem, żeby nawiew ciepłego powietrza był właściwy i żeby radio nadawało muzykę. Wydawało się, że jest zadowolona i docenia to, że jedzie ze mną zamiast marznąć na nie osłoniętym przystanku autobusowym. Za nami dawno pozostały pytania i odpowiedzi: „Czy zabierze mnie pan do Krakowa?” „Proszę”. „Czy nie boi się pani jechać z nieznajomym?” „Teraz nie”. „To dobrze”. Czulem się jak złodziej, dlatego zwróciłem się wprost, by z głosu poznała, że patrzę na nią i by uwolnić się od myśli, której ukrywanie mogło być podejrzane:

- Jest pani piękną dziewczyną.
- Tak, mówiono mi to.
- Nie poznałem, czy jest to skromność czy obojętność.
- To prawda — upierałem się, jakbym sam nie przywiązywał do tego wagi.

bie, że podświadomie kręciłem kierownicą tak, żebyśmy lecieli tyłem. Gdybyśmy uderzyli przodem, nasze głowy przebiłyby szybę i przekształciłyby się w dwie krwawe kule, co już kiedyś widziałem na drodze do Katowic. Fotele otwały się pod uderzeniem naszych pleców. Tak więc mieliśmy trochę farta. Nie wiedziałem jeszcze co z samochodem, czy misa olejowa nie jest rozbita, czy zawieszenie jest w porządku, czy zbiornik benzyny nie cieknie. Wróciłem do środka, bo mróz ugryzł mnie w ręce, a wyglądało, że do rana będę mógł jeszcze zmarznąć. Spodziewałem się, że dziewczyna zabierze się jakąś okazją, a mnie wyciągną w dzień. Poza tym nie chciałem, żeby sama siedziała dłużej rozmyślając o swojej głowie.

- Jak się czujesz?
- Dobrze, tylko trochę boli mnie głowa.
- Do wesela się zagoi — przypomniałem sobie powiedzenie, którego sam nie używałem.
- Co się stało samochodowi? — zapytała przyciskając do czubka głowy chustkę, która nasiąkła krwią, co mnie — nie wiadomo dlaczego — rozśmieszyło. Może dlatego, że żyliśmy nadal, zamiast odpoczywać na cmentarzu? Nie wiem.
- Spróbuję teraz uruchomić silnik. — Rozrusznik kręcił i udało mi się zapalić. Wyłączyłem sil-

- Albo dźwięk.
- Ja mam linię! — przypomniał sobie kierowca fiata i poszedł do samochodu, ale okazało się, że lina została w domu.
- Niech pan wyjedzie na pole! — poradził inny, jakby samochód mógł się zamienić w chłopskie siano.
- Zatrzymał się autobus san, stary i brudny, z robotnikami jadącymi do pracy, albo wracającymi od niej. Rozumiałem, że jest to jedyna szansa. Zwróciłem się do kierowcy sana, żeby porozmawiał z robotnikami i poprosił ich o pomoc. Sam wróciłem do samochodu i trafiałem właśnie na moment, kiedy panie proponowały dziewczynie, żeby wsiadła do ich samochodu. Wydało mi się, że to dobry pomysł, tym bardziej że podczas wyciągania samochodu mógł się przewrócić. Odprowadzono dziewczynę gdzieś w noc.
- Biedaczka — komentowała jedna z pań. — Ma kompletnie rozbitą czaszkę.

Zjawili się robotnicy. Poradzono mi, bym wsiadł do samochodu i pomagał silnikiem. Twarze ludzi ze wszystkich stron otoczyły samochód i przykleiły się z wysiłkiem do szyb. Samochód uniósł się w powietrze i przednimi kołami oparł o jezdnię. Zbocze było strome i miało chyba ze dwa metry. Brzęczałem silnikiem dodając ludziom otuchy, że samochód też pracuje. Bałem się, że zabraknie im siły i zniechęcą się. Samochód wsunął się do polowy na drogę, a potem postawili go jak zabawkę na asfalcie przodem w kierunku jazdy i w milczeniu odeszli. Chciałem im coś powiedzieć, ale ścisnąłem tylko rękę kierowcy sana, bo czulem, jak mało znaczy gadanie, wszystkie podziękowania, wobec ich ciężkiej pracy. Czulem, że kocham ich, ale nie mogłem tego powiedzieć, bo wzięliby mnie chyba za półgłówka. Kierowca wołgi prostował mi rurę wydechową, która zgłębiała się przy uderzeniu.

- Niech pan ją oczyści z ziemi — poradził — bo inaczej przedmucha uszczelkę głowicy. No i niech pan nie pędzi sto dwadzieścia na zakrętach...
- Zrozumiałem, że ten człowiek wie, kto tutaj piwa nawarzył. Ścisnąłem mu dłoń, starając się, żeby poczuł, że mu dziękuję.
- Wsiadłem do samochodu i zapaliłem silnik.

- Pańska żona! Jest w naszym samochodzie, czeka na pana! — przypomniała mi jedna z pań z wyrzutem, jakbym zamierzał zapomnieć o rannej „małżonce”.

Wsiadłem i przyprowadziłem dziewczynę. Samochody zaczęły się rozjeżdżać. Ruszyłem, słuchając jak pracuje silnik. Przy większych obrotach zaczynał wyć i tracić moc. Nasza prędkość różna zmalała teraz do czterdziestu kilometrów, ale cieszyłem się, że jedziemy. Radio nie grało. Może poluzowały się jakieś złącza? Okazało się, że dużo mniej wiem o samochodzie, niż myślałem, kiedy wszystko było w porządku. Ciśnienie oleju było dobre, ale wskaźnik paliwa kurczył się niepokojąco. Zacząłem się obawiać, że stanjemy gdzieś w polu.

- Może lepiej będzie, jeżeli zatrzymam jakiś samochód i dalej pojedziesz z kim innym? — zaproponowałem, mając nadzieję, że odmówi, bo chciałem, żeby była przy mnie.

- Nie, wolałabym zostać z tobą, jeżeli można. Chyba już nic gorszego nam się nie zdarzy.

- Jasne — powiedziałem stanowczo, bo drogowskaz informował, że dojeżdżamy do Oświęcimia.

Zapytałem o stację benzynową i pojechałem tam. Facet, który nalał benzyny, powiedział, że w mieście są dwa hotele: „Olimpijski”, w którym nigdy nie ma miejsca, i hotel przy dawnym obozie koncentracyjnym, w którym może być miejsce. Tablice „La musse d' Auschwitz” strzałkami pokazywały drogę. „No cóż, być w Oświęcimiu i nie widzieć obozu?”

Reflektory wydobły z nocy ponure budowle z cegły o spadzistych dachach i wąskich oknach, przypominających siedzibę krzyżackich rycerzy albo monstrualne trujące grzyby. Ten niemiecki styl w architekturze! Wszystko za kolczastymi drutami na betonowych słupkach ze szklanymi izolatorami.

Hotel był przepelniony (przyjechały wycieczki), ale pani z recepcji, której powiedziałem, że mieliśmy wypadek, postarała się i dostaliśmy pokój. Poszedłem po dziewczynę, którą zostawiłem w samochodzie i zaprowadziłem ją do pokoju, a sam poszedłem na poszukiwanie środków opatrunkowych. Okazało się, że ktoś, kto miał klucze od apteczki hotelowej, wyszedł i w całym hotelu nie było plastra ani bandaży. Wróciłem do pokoju, a dziewczyna zdążyła już umyć głowę i zobaczyłem miejsce rozcięte, z którego nadal sączyła się krew. Poradziłem, żeby przyłożyła okład z ręcznika u-moczonego w zimnej wodzie i szedłem na dół, aby dowiedzieć się czy dostaniemy coś do jedzenia. Zabrałem pokrzwawiony swetr i poleciłem pokojowej wyprać go. W barze na dole mogliśmy jeszcze zjeść kolację. Nie było tam już nikogo oprócz trzech pijaków w otoczeniu butelek i nie dojeżdżonych resztek, którzy dostrzegli jednak dziewczynę i zaczęli do niej zagadywać, kiedy stałem przy bufecie i zamawiałem jedzenie. Widziałem, że jest zła z tego powodu i pocieszyłem ją, iż gdyby była brzydka, nikt by jej nie zaczął.

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

# W Środku nocy

Marek Żenni

- Dziękuję za komplement.

Nadal nie wiedziałem, co o niej myśleć, ale zacząłem się obawiać, że będę miał twarde orzech do zgryzienia. „Ladne dziewczyny muszą być twarde, bo inaczej już by ich nie było” — myślałem. W pamięci pozostał mi jej profil, który parę lat temu natychmiast bym pokochał, byłem tego pewny, i męczyłbym się, bo twarde dziewczyny nie kochają nikogo.

Zacząłem cisnąć gaz, aż samochód zaczął przechodzić zakręty ślizgami. Czerwona strzała szybkościomierza wzrosła jak gorączka na termometrze. Asfalt był czysty i miał dobrą przyczepność, bo parę dni temu była odwilż i drogi oczyściły się w promieniach słońca, a od tamtego czasu nie było śniegu, mróz nadszedł niespodziewanie z południowego wschodu, jak podawała telewizja.

Bałem się tylko lodowych muld, które gdzieś ukazywały się na drodze. Oszronione dęby drzew, ciche jak zamzarłe fontanny, nadlatywały z pól i uciekały w mrok za samochodem. Miałem już włączone reflektory, żeby w porę zobaczyć muldy.

Dziewczyna słyszała ryk silnika, ale siedziała bez słowa. „Wszystkie one mają nieruchomą twarz i żelazne nerwy” — pomyślałem i pożałowałem, że ją wziąłem. Ale nie mogłem jej wysadzić w polu. Cisnąłem gaz, redukowałem biegi, podwyższałem biegi, cisnąłem gaz. Zapomniałem o niej, właściwie przestała się liczyć wobec mojej prędkości. Miałem jeszcze daleką drogę, nie chciałem nocować w Krakowie, lecz dojechać do Rzeszowa, gdzie jest wygodny i niezbyt drogi hotel. Przebiegałem obok ciężarówek, które zdawały się zasypiać ze swoją prędkością sześćdziesiąt na godzinę.

W pewnej chwili, gdy przeszedłem już zakręt i dodałem gazu, poczułem, że samochód jedzie bokiem. Skontrovałem kierownicą i nacisnąłem, jak idiota, hamulec, chociaż wiedziałem, że nie wolno tego robić. Samochód odwrócił się teraz drugim bokiem i lecieliśmy jak na karuzeli. Trzymałem kierownicę i kątem oka widziałem, jak dziewczyna bezzadnie chwytła powietrze. Załowałem jej, siebie i samochodu, bo za chwilę mogła nastąpić ciemność. Samochód przechylił się i uderzył o coś, a myśły nagle leżały na fotelach, które rozłożyły się pod wpływem tego wstrząsu.

- No — powiedziałem — jazda skończona. Nic ci się nie stało?

- Nie, a tobie?

- Nie. Ale skąd ta krew? — Spomiędzy jej włosów zaczęły wypływać czerwone strużki.

- Zdaje się, że mam rozciętą głowę i trochę mnie boli — powiedziała dziewczyna. — Zobacz co to jest.

- Drobniak — powiedziałem, żeby jej nie przstraszyć. — Skóra na głowie bardzo krwawi nawet przy małych skaleczeniach. Kiedy byłem chłopcem, kilka razy rozbili mi głowę kamieniem. Bawiliśmy się w wojnę. Przytrzymaj to miejsce chustką.

- O co się uderzyła?

- Sam nie wiedziałem, ale rana nie wyglądała na śmiertelną.

- Zaraz wracam — powiedziałem i wyszedłem z samochodu, ale wpięram wyłączyłem reflektory, które niepotrzebnie oświetlały jakieś białe zbocze. Wyłączyłem prąd, żeby samochód nie spalił się w razie uszkodzenia instalacji elektrycznej. Samochód miał wgnieciony tył, ponieważ odwrócił się i uderzył tyłem o pobocze rowu. Przypomniałem so-

nik i zapaliłem światła pozycyjne, żeby nas łatwiej zauważono z drogi.

- Jeszcze pojedziemy tym samochodem — powiedziałem, nie bardzo w to wierząc. — Gdyby go wyciągnąć na drogę...

Zatrzymały się czarna wołga i fiat. Ludzie wyszli z samochodów i z góry zaczęli dopytywać się, czy żyjemy. Odpowiedziałem, że żyjemy i zachęcałem ich, by zeszli na dół i pomogli wyciągnąć samochód. Panowie zeszli, ale panie pozostały na drodze kuląc się na wietrze. Niektóre wróciły do samochodów. Kierowca wołgi zapalił czerwoną latarkę i zatrzymywał samochody. Niektóre przystanęły.

Z autobusu PKS wyszedł jakiś facet i oświadczył, że jest lekarzem i zapytał, czy trzeba udzielić rannym pomocy. Podziękowałem mu, bo ocenilem dobre chęci, ale tu trzeba było pchać i ciągnąć, a pasażerowie nie mieli czasu i autobus odjechał. Facet z wołgi nadal dzielnie zatrzymywał inne samochody.



Rys.: E. Ingłot

- Ta pani jest ranna! — krzyknęła któraś z obserwatorek. W świetle latarek zobaczyłem, że czerwone wężyki znów wypełzają na twarz dziewczynie. Panie zeszły niżej i jedna z nich pożyczyla jej swoją chusteczkę.

Widząc, jak ostrożnie obchodzi samochód wokół, zamiast pchać go w górę, zrozumiałem, że z tymi wojownikami bitwy nie wygram.

- Zatrzymuj pan samochody robotnicze! Tu muszą być robotnicy! — krzyknęłam do czerwonego światła poruszającego się wahadłowo, starając się nie urazić panów w garniturach.

- Tu przydałaby się lina i ciężarówka — rzucił mały brzuszek.

# W ŚRODKU NOCY

Dokończenie ze str. 11

— Ale to może się zdziwić.

Humor jej się poprawił, kiedy wypita trochę wódki.

Pani z bufetu powiedziała nam, że obóz Birkenau, opisany przez Szmaglewską, jest nieco dalej. Postanowiliśmy tam pojechać. Tabliczki „La musée Brzezinka” pokazały nam drogę. Duży napis „Ludzie ludzom zgotowali ten los” zawisł nad polem i zgasł w ciemności. Spodziewałem się krematoriów, żelaznych bram, jakichś niewyobrażalnych straszności. A tu wielkie drewniane baraki ustawione równiutko za ogrodzeniem, przez które oczywiście teraz prąd nie płynął. Spostrzegłem, że jedna z bram była otwarta. Wisiał na niej znak zakazu ruchu wszelkich pojazdów, ale była

noc, w pobliżu nie było nikogo i nadarzała się okazja zwiedzić obóz bez konieczności chodzenia kilometrami i marznięcia. Wjechałem na wąską i oblodzoną drogą między dwoma płytkimi rowami. Z obu stron baraki o spadzistych dachach (ten niemiecki styl w architekturze) w sektorach podzielonych dwoma szeregami kolczastych drutów na izolatorach z wieżyczkami wartowników, które nadal kontrolowały płaski teren pozbawiony drzew.

Baraki ciągnęły się dalej, ale nasza droga skończyła się. Musiałem zawrócić, uważając, by nie ześliznąć się do rowu, bo nie miałem zamiaru tu nocować. Wyłączyłem silnik i zgasilem światła by nie psuć nastroju tego miasta umarłych. Trudno uwierzyć, że w okresie „świećności” liczyło miliony. Wyszliśmy z samochodu i pocałowaliśmy się w krajobrazie obozowym, z szacunkiem który wywołuje Historia. Poczulem, że dziewczyna

zmarła, więc wróciłem do samochodu i nacisnąłem starter. Rozrusznik cicho stuknął, ale nie zakręcił. Zrobiło mi się trochę gorąco. Podniosłem maskę i sprawdziłem połączenia. Pokazałem dziewczynie, jak ma nacisnąć kluczyk, a sam zwarłem obcęgi końcówki rozrusznika. Zawsze to pomagało. Lecz nie teraz. Spocilem się jeszcze bardziej myśląc, co się mogło stać. Nic mi nie przychodziło do głowy. Może dawać sygnały reflektorami? Ale kto nas „obaczy o tej porze? Wyłączyłem światła, żeby oszczędzić akumulator. Martwy samochód stygnął przerażająco szybko. Nie mogliśmy wracać w lodowatym wietrze tylko w swetrach — nasze płaszcze zostały w hotelu. Pozostało siedzieć i czekać na dzień.

Nasze oddechy zamieniały się w parę i zamrażały na szybach. Zaczęliśmy się przytulać do siebie i ogrzewać oddechami — jak więźniowie. I wtedy zrozumiałem prostotę pomysłu: nadzy i głodni na mrozie.

Kostniały nam ręce i stopy. Pocałunki niewiele pomagały. Pocięliśmy się, że dalekie światła oznaczają ciepłe miasto żywych i że my urodziliśmy się po wojnie.

Marek Żenni

## NAD JEZIOREM LEMAŃSKIM

Henryk Nowogródzki

**A**DAMA poznałem kiedy wyszedł z trumny. Zbiegł z Pawiaka na krótko przed Powstaniem Warszawskim. Po upadku Powstania nie opuścił miasta. Ukrywał się wśród płonących ruin. Wtedy go właśnie poznałem.

Szukałem wody i żywności. Przemykałem się obok sklepu trumniarza. Zajrzałem tam. I wtedy uniosło się wieko trumny. Adam ukrywał się w niej od wielu dni. Wychodził nocą z tej kryjówki. Więc właśnie uniosł trumienne wieko i wyszedł.

Odtąd pozostaliśmy razem do chwili wyzwolenia. A było to ponad trzydzieści lat temu.

Kawiarenka w Versoix nad Jeziorem Lemańskim opada tarasami nad samą wodą. Na jeziorze bliższą w słońcu różnobarwne maszty żaglowe. Jedna łódź przybija do niewielkiej przystani tuż przy kawiarence. Wychodzi długonoga, śliczna dziewczyna. Prawie naga w swoim bikini, otula się ręcznikiem. Na opalonych ramionach kilka kropel wody.

Patrzmy na dziewczynę — Adam i ja.

— Nie mówiłem ci tego nigdy. Nawet tobie tego nie mówiłem — Adam milknie. Nie przerywam milczenia.

— Nie mówiłem tego przez tych trzydzieści lat. No i nie widzieliśmy się od lat dziesięciu. Spotykamy się dopiero tu, w Versoix. Wiesz, miałem żonę. Zginęła w czasie wojny. Gnieździł się w Warszawie, w jednym pokoiku, razem z moją matką. To był sierpień 1942, kiedy matka zachorowała na tyfus. Myślałem, że ją uratujemy. Lekarz mówił, że kryzys nastąpi na szesnasty dzień. Może mówił, że to będzie dzień siedemnasty. Nie pamiętam. Ale przecież powinienem pamiętać.

Zrobiłem jakiś nieokreślony ruch ręką. Może nie było to zbyt taktowne.

— Przed oczekiwaniem kryzysem czuła się nawet lepiej. Rozmawiała. Nad ranem umarła. Właściwie — potem to zrozumiałem — miała ludzką śmierć. Ale już pogrzeb miała nieludzki.

Dziewczyna pobiegła do swojej łodzi. Nie, to był kajak. Chwyliła wiosło i popłynęła. Jezioro było spokojne. Popłynęła w stronę Genewy. To blisko.

Pamiętam, gdy byłem dzieckiem, mój ojciec podśpiewywał taki kuplecik: „Genewa dla nauki, Paryż dla zabawy”. Kuplecik był rymowany. Nie pamiętam rytmu. I nie mogłem go sobie przypomnieć na tarasie w Versoix.

— Pogrzeb miała nieludzki. Szybko skłębiona trumna. Na bagażowej rykszy wieźliśmy matkę na cmentarz. Rykszarz jechał wolno, z żoną szliśmy obok. Wiesz, jak wyglądały warszawskie ulice. Nie potrzebujesz opisu... Słuchaj, słyszałem, że Trasa Łazienkowska taka piękna, nowoczesna.

Skinąłem głową. — Muszę przyjechać, zobaczyć... Ryksza przetoczyła się przez cmentarną bramę, podskoczyła na jakimś kamieniu. Tuż za bramą leżały trupy znoszone z nocnej rozwalki. Pamiętasz to nieludzkie słowo: rozwalka? Czekały na pochówek we wspólnym rowie. Moja matka miała jeszcze własną mogiłę, tylko dla siebie. Kilka machnięć łopatą. Grabarz się spieszył. Stoję jeszcze chwilę nad grobem. Od strony cmentarnej bramy jakieś krzyki, nawoływania, wrzask. To na pewno Niemcy.

Adam znów zamilkł. — Na skarpe kawiarni, z przewodniczką, weszła grupa japońskich turystów. Kobiety, mężczyźni, matki trzymają dzieci za ręce. Rozbawieni, hałaśliwi. Na małym tarasie obsiedli wszystkie stoliki. Kelnerzy szybko ich obsługują. Japończycy fotografują. Pstrykają aparaty. Lekko brzęczą kamery. Zdjęcia są kolorowe, natychmiast gotowe. Śmieją się. — Tam wtedy także fotografowano — mówi Adam.

Japonka w kimonie chce nam zrobić zdjęcie. Klaniając się i przykładając rękę do piersi, prosi o pozwolenie. Zgadamy się. Uśmiecha się w podzięk. Pstryk. — Nie odwracam się, ale czuję, słyszę ich za sobą. Niemcy są za moimi plecami. Jeden z nich odciąga moją żonę, która zaczyna krzyżeć jakimś nieludzkim głosem. Nigdy takiego głosu nie słyszałem. Ale słyszę go czasem teraz, w nocy. Grabarz rzucił łopatę i ucieka między grobami. Dwóch SS-manów bierze mnie pod ramiona i prowadzi. Nigdy ci tego nie opowiadałem. Nie wiem dlaczego dzisiaj, tutaj, w Versoix.

Japończycy odchodzą. Pani, która nam zrobiła zdjęcie, klania się raz jeszcze, przykładając dłoń

do serca. Odwzajemniamy się, klaniając się nisko. — Więcej biorą mnie i prowadzą. Ciągłe słyszę za sobą krzyk żony. Wiem, że idę na śmierć. Podobno w takiej chwili człowiek przebiega myślą całe swoje życie. Ja tego nie doświadczyłem. Może ten krzyk, ten świdrujący, rozdzierający krzyk odganiał obrazy przeszłości. Ciągną mnie do tego miejsca przy cmentarnej bramie, gdzie leżą niepogrzebane zwłoki. Za chwilę będę także trupem. Ustawiają mnie pod cmentarnym murem. SS-mani — inni — podnoszą trupy. Ci dwaj, którzy mnie prowadzili, każą mi rozłożyć ramiona. W geście ukrzyżowania. Stają obok mnie. Ich koledzy o moje ramiona opierają trupy. To już grupa gotowa do zdjęcia. Dwaj SS-mani po obu stronach, obok mnie, dwa trupy i ja — żywy trup — pośrodku. Niemiec robi zdjęcia. Błysk flesza. Jeszcze jedno, jeszcze jedno. Czy dobrze? — pyta.

Młody, może 20-letni umundurowany chłopak mówi coś do fotografa na ucho. Ucieszył się. Zbliży się do mnie z pistoletem i rozkazuje: „Du sollst lachen!”. Śmieję się! „Du sollst lachen! Lachen sollst du!”.

Adam znów milknie. Jezioro nieco się zmarszczyło. Mała fala łagodnie uderza o skarpe.

— Śmiałem się. Wiesz, śmiałem się. Twarz Adama rzeźbią głębokie fałdy, jak gdyby ukazując grymas tamtego śmiechu. — Śmiałem się... „Du sollst lachen! Lauter!” Głośniej! Śmiałem się głośniej.

— Nie zabili mnie. Nie wiem dlaczego. Odeszli, pozostawiając mnie pośród trupów. Nie wiem, jak wróciłem do domu. Ale ten śmiech, własny śmiech słyszę jeszcze po nocach. Budzi mnie. Budzi mnie własny śmiech. I krzyk.

Nie zabili mnie, ale pozbawili mnie śmiechu. Amputowali normalny ludzki śmiech. Niekiedy, gdy słyszę, jak ludzie się śmieją, jak sam się uśmiechnę, przez mój uśmiech przebiega tamten grymas i lękam się, że usłyszę ów rechot: „Du sollst lachen!”.

Jakiś ptak, nie wiem jaki, zaczął ptasią melodię i zaraz urwał. Na jeziorze, blisko ludzi, kołysały się mewy. Pani z dzieckiem zeszła na sam skraj skarpy. Dziewczynka rzucała mewom kawałki chleba. Gdy wylądowały je z wody — śmiała się radośnie, dzieciennie. No bo jak ma się śmiać dziecko?

— Masz fotografię, którą zrobiła ta Japonka? — Podaliśmy zdjęcie Adamowi. Wziął je i porządnie, systematycznie podarł. Zmiał w rękę kawałki i wrzucił do jeziora.

Pani z dziewczynką spojrziała zdziwiona. Skrawki popływały przez chwilę i znikły.

Sprzedawca pamiątek zachęcał nas, aby kupić souvenir du Lac Leman.

## DEBIUTY

Sławomir Rudnicki

### ŻYJE SIĘ TAK OGROMNIE

*Żyje się tak*

*Ogromnie*

*Czasem dla czarnych ziaren*

*W owoc*

*Lub morza się odwiedza*

*Za ścianą u przyjaciół*

*Kocha się najpewniej*

*Gdy toną w ziemi nasze*

*Barki a zaręczynowy pierścień*

*Boi się znów nas spotkać*

*Przebranych*

*Kocha się z dala i wysoko*

*Aby długo upadać*

*Później jest czas na przedstawianie*

*Ciężkich zamysłonych figur*

*Wtedy masz drapieżne ręce*

*I możesz w tanim spiżu*

*Dłubać epitafium*

*Aż obca wargą zaniesie*

*Twój koniec do aniołów*

### TUTAJ WISI ŚWIATŁO RZECZY ZATOPIONYCH

*Tutaj wisi światło rzeczy zatopionych*

*Tutaj pięć przychodzą odgłosy cienie*

*I pełga iskra rozsądku nad wszystkim*

*Możesz oprzeć się o stopy imion tutaj*

*W tej kopalni maksym bezpiecznie*

### ŚPIEWAJĄCA

*Śpiewająca w głosie swoim idzie*

*Gdzie najmniejszy szmer słyhać jej kroki*

*Aż do kresu wymilczenia i tak dalej idzie*

*Już tylko jej nieobecność cień jednooki*

*Po łzawych wyżynach rozłączenia*

Jolanta Baryła

### MOIM WYCHOWANKOM Z ROCZNIKA 67

*Gluchonieme cząsteczki*

*czasami*

*wystraszone*

*gdy skakały za dużo piłką*

*od ziemi do nieba*

*Kopciuszki*

*w korcu zeszytów*

*— maku i soczewicy —*

*depczą*

*po kredzie rozmazanej Asem Alą*

*czy kotem*

*Przehaftowane życie*

*uzupełni braki*

*ławkoszkołnych klęsk*

*gdy w siedmioletnim lecie*

*Wywracają dzieci*

*odpowiedzi*

# ROD PARAGRAFEM

## Chłopcy z placu broni

**W** AKACJE kończyły się. Był ciepły sierpniowy zmierzch, około godziny 20.00. Na placu zabaw przed blokiem trwała „bitwa”. Podzieleni na dwie grupy chłopcy strzelali do siebie z proc, używając jako pocisków owoców jarzębiny. Gdy się „trafiło przeciwnika”, trzeba było krzyknąć: „zaliczyłem!” Chłopcy mieszkali w sąsiednich blokach, znali się od dawna i zabawiali w ten sposób już niejednokrotnie. Do konstrukcji proc służyła im guma modelarsko-lotnicza, którą można kupić w każdej składnicy harcerskiej.

W pewnym momencie Marek G., uczeń klasy maturalnej znanego liceum, spostrzegł, iż za krzakiem mignął mu „przeciwnik” — Jerzy S., 13-letni uczeń szkoły podstawowej. Marek „wystrelił” w kierunku krzaków, powiedział podobno „zaliczyłem!” Jurek krzyknął: „moje oko!”, rozplakał się i przez swego brata został zaprowadzony do domu.

Leczenie w klinice okulistycznej trwało 19 dni. Lekarze ostatecznie stwierdzili: „Od dnia wypisania pacjenta z kliniki stan oka uległ nieznacznej poprawie. Obecnie Jerzy S. praktycznie widzi tylko prawym okiem. Lewe oko może nadal ulegać poprawie, proces ten trwa jednak długo, do paru lat, i zazwyczaj pozostaje centralne zmętnienie rogówki, znacznie obniżające ostrość wzroku”. Zakład medycyny sądowej stwierdził „zranienie gałki ocznej lewej z następującą praktyczną bezużytecznością oka lewego”, czyli „inne ciężkie kalectwo w rozumieniu art. 155, § 1, pkt 2”.

Ojciec Jerzego S. wystosował do prokuratury pismo o wszczęcie dochodzenia: „Obecnie okazuje się, że syn mój utracił trwałe widzenie w oku lewym, wobec tego nastąpiło ciężkie uszkodzenie ciała. Sprawę powyższą zgłaszam z opóźnieniem, ponieważ nie przypuszczałem, że skutki będą tak tragiczne”. Faktycznie — kto mógł przypuszczać, iż w ten sposób skończy się chłopięca „zabawa”?

Przeciwko Markowi G. wszczęto dochodzenie o nieumyślne spowodowanie ciężkiego kalectwa i milicja zażądała ze szkoły dokładnej opinii o chłopcu. Szkoła zaopiniowała, że miał dostateczne wyniki nauczania, nie powtarzał klas, zachowanie jego nie budziło zastrzeżeń, aktywnie pracował społecznie, członek ZMS, rodzice interesowali się postępami nauczania swego syna, a szczególnie

matka, która jest nauczycielką. Ona to właśnie zeznała na rozprawie sądowej: „Byłam u rodziców poszkodowanego, jego ojciec powiedział, że nie ma pretensji do mojego syna, że to była tylko zabawa... Syn mój bardzo przeżywa to, co się zdarzyło. W tym roku robi maturę. Cała ta sprawa bardzo nami wstrząsnęła”.

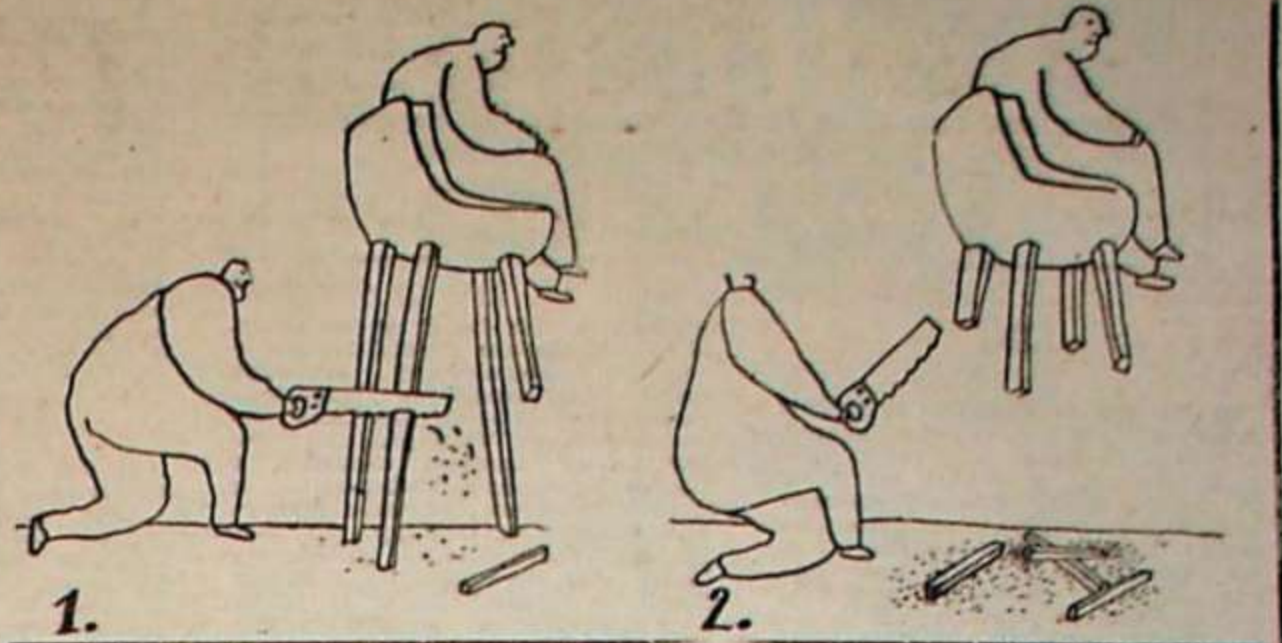
Ojciec poszkodowanego zeznał, iż obaj chłopcy, mimo różnicy wieku, utrzymywali ze sobą przyjazne kontakty, bawili się razem. Czy procami także? Chyba tak, ponieważ kilkakrotnie odebrał synowi procę. Z racji ubezpieczenia Jerzego S. jego rodzice otrzymali łącznie 43 tysiące złotych. Oczywiście, żadna kwota nie zrekompensuje nieszczęścia tej rodziny. A przecież tragedię przeżywa również nieumyślny sprawca kalectwa i jego rodzina.

Sąd skazał Marka G. na rok pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem na trzy lata, 5000 złotych grzywny, ponadto zasądził 2800 złotych opłaty sądowej i zwrot kosztów postępowania w wysokości 715 złotych.

Można by się spytać, jaki jest kontekst i co wynika z tej sprawy? Wszyscy bawiący się krytycznego wieczoru procami chłopcy mają dobre opinie, o żadnym chuligaństwie nie może być mowy. Wszyscy mają przykładne rodziny, pracujących rodziców, stwarzających dogodne warunki wychowawcze swym pociechom. Okoliczności tragicznego wypadku są — wbrew pozorom — dosyć szczególne. Był przecież zmrok, Marek G. nie celował nawet w głowę swego kolegi, po prostu „wystrelił” w jego kierunku, jak to już zapewne niejednokrotnie robił podczas poprzednich zabaw. Tylko że tym razem trafił akurat w oko...

Czy w związku z tym mam napisać, że rodzice powinni zabronić chłopakom bawienia się procami, zaś sklepy harcerskie nie powinny sprzedawać gumy modelarskiej? Może i powinienem tak napisać, ale kto potrafi upilnować kilkunastoletniego „mężczyznę”, gdy ten chce sobie skonstruować procę? Tak naprawdę to wynika z tej historii tylko tyle, iż czasem w życiu zdarzają się przypadki i zbiegi okoliczności wyjątkowe, nieprzewidziane, choć w konsekwencjach tragiczne, i do nich właśnie należy ta sprawa.

pom



— „Szczęki” czy „Trędownata”.



Samochód na gwoździe.

Rys. A. Chodorowski

### BARAN

21 III—18 IV

Bardzo pomyślny okres w twoim życiu. Staraj się to należycie docenić. W dużej mierze od ciebie zależy, jak ułoży się najbliższa przyszłość. Byłoby jednak dobrze, abyś zmienił(a) nieco swój stosunek do otoczenia.

### BYK

19 IV—20 V

Lekceważysz rady przyjaciół, a przecież często mają oni lepsze niż ty doświadczenia. Zastanów się, czy twój brak zaufania do ludzi nie jest niekiedy przyczyną porażek? Maj zapowiada się dla ciebie raczej dobrze, a nowa znajomość, jeśli podejdziesz do niej poważnie, może wiele zmienić w twoim życiu. Nie popelniaj jednak starych błędów!

### BLIŹNIĘTA

21 V—20 VI

Fakt, że masz teraz tak wiele pracy. Wykonujesz ją solidnie, toteż efekty przynoszą sporo zadowolenia, choć twój zwierzchnik nie są zbyt skorzy do pochwał. Bądź jednak cierpliwy(a): w danym wypadku „co się odwiecie, nie uciecze”. Dobrym relaksem jest praca na działce. Jeśli jej nie posiadasz, staraj się więcej czasu spędzić na świeżym powietrzu.

### RAK

21 VI—22 VII

Mówisz, co myślisz, często walisz ludziom prawdę w oczy, unikasz kompromisów. To dobrze, ale świat nie składa się wyłącznie z ludzi, którzy lubią krytykę. Śmiem twierdzić, że jest zupełnie odwrotnie. Dlaczego więc dzielisz się, że awansie przechodzą ci koło nosa? Prawdę jednak mówiąc, nie zawsze potrafisz dostrzec błędy we włas-

# HOROSKOPY

Ważne od 3 do 16 maja

nym postępowaniu. Inni widzą je jednak znakomicie i cieszą się z każdego twego potknięcia. Nie zmieniaj charakteru, ostrości widzenia, ale w owej ostrości uwzględnij jednak i siebie. Dla własnego zresztą dobra.

### LEW

23 VII—22 VIII

Taki znów „lew” to ty nie jesteś. Prędzej już „lew salonowy”, ale gdzie dzisiaj znaleźć salony? Przed wplątaniem się w nową kabałę już ciebie ostrzegalam, ale, jak zwykle, ty wiedziałeś (aś) lepiej i teraz musisz płacić za własne błędy. Oczywiście szybko się z tego otrząsniesz, ale nieprzyjemność pozostawiły pewnie osad.

### PANNA

23 VIII—22 IX

Wyjazd zagraniczny, a może tylko list z zagranicy od dobrych znajomych, przyjaciół. Gwiazdy coś mówią na ten temat. Pamiętaj jednak przede wszystkim, gdzie żyjesz, z czym należy wiązać plany bliższe i dalsze. Pierwsza dekada maja zapowiada się bez specjalnych niespodzianek, choć ty ciągle czekasz na jakąś zasadniczą zmianę. Oczywiście pomarzyć warto, ale i marzenia mają swoje granice.

### WAGA

23 IX—22 X

Coraz lepiej, więc w gruncie rzeczy coraz mniej masz powodów do narzekania. Nie staraj się jednak zawsze po-

stawić na swoim, bardziej ciesz się drobiazgami, bo z drobiazgów składa się życie! W oczach najbliższych, ale to samo jest i w pracy, uchodzisz za wiecznego malkontenta, po cichu (bo głośno ci tego nie powiedzą) zastanawiasz się, czego ty właściwie jeszcze chcesz? Właśnie — czego? Masz dość czasu, aby przeanalizować dotychczasowe postępowanie. Na „Toto-lotka” nie licz. I tak „trójka” była twoim największym sukcesem!

### SKORPION

23 X—21 XI

„Skorpiony” nie mają najlepszej pamięci. Są zbyt nerwowi w działaniu, śpieszą się, a przez to często popelniają błędy. Ty też w tym względzie do wyjątków nie należysz. A szkoda, bo za błędy na ogół się płaci. Zastanów się nad swoim postępowaniem, bo twój zwierzchnik też się może w końcu zdenerwować.

### STRZELEC

22 XI—21 XII

Zadrażnienia już poza tobą. Zachowanieś (aś) zimną krew, opanowanie przyszło w porę, wszystkie sprawy, no — prawie wszystkie, ułożyły się dość pomyślnie. Teraz trzeba się wziąć do pracy i do nauki, nawet wbrew własnym pragnieniom. Wbrew, bo maj to miesiąc różnych pokus. Propozycja, z którą się spotkasz, ciekawa, ale rzecz trzeba najpierw dokładnie rozważyć, błędnie pod uwagę wszystkie „za” i „przeciw”.

### KOZIOROŻEC

22 XII—20 I

Czy niepowodzenia, jakie cię od czasu do czasu spotykają i które tak głęboko przeżywasz, będą się powtarzać? Można zapytać też inaczej: gdzie jest ich źródło? Wydaje się, że w wielu wypadkach wszystko ułożyłoby się inaczej, gdybyś usiłował(a) bardziej wpłynąć na bieg wydarzeń. Czasami gubi cię zwykła nieśmiałość, a czasami brak taktu, wynikający z małej — przyznaj się do tego! — edukacji.

### WODNIK

21 I—18 II

Nareszcie „wodniki” mogą mówić o szczęśliwym miesiącu. Drobne burze będą typowymi burzami wiosennymi. Miłą szybkość i szybkość będzie można o nich zapomnieć.

### RYBY

19 II—20 III

Po niezbyt wesołym początku maja „ryby” trafią w bardziej przyjemny okres. Ale osoby spod tego znaku muszą bardziej kontrolować swoje postępowanie.

Odpowiedzi Stelli „Koziorożec” z Lublina. Masz wyraźnego pecha, ale te niepowodzenia nie powinny Cię tak zupełnie zniechęcać. Gwiazdy mówią, że pewna osoba spod znaku „Bliźnięt” powinna Cię zainteresować, a co ważniejsze — ta osoba zainteresuje się Tobą. Kiedy to nastąpi? Czerwiec — lipiec. Zresztą te miesiące dla „Koziorożców” powinny być szczęśliwe. Oczywiście nie ma reguły bez wyjątków! Pozdrawiam Cię i dziękuję za miłe słowa.



# Poczta literacka

Z. M. J. Zielona Góra. Proszę mnie nie posądzać o purytańską obsesję, ale chciałbym zauważyć, że uł w pańskich wierszach jest cokolwiek nadto. Nie wspomnę o dalszych szczegółach damskiej anatomii. Chce Pan, żeby był szczyt? Otóż podejrzywam, że „z tymi rzeczami” w literaturze jest tak, jak z „mocnymi słowami” w mowie bezpośredniej: ktoś, kto nie ma nic do powiedzenia, halasuje trzy — cztery — i pięćliterowymi wyrazami po to, by brak myśli pokryć ekspresją podania. Niech Pan przysłucha się co nieco wypowiedziom spod traw, budki z piwem. Powiedzieliśmy to grzot (często z towarzyszeniem gestu), ale w końcu co chodzą? Treść żadna, a mówiący jest przekonany, że tu wyraził swoją osobowość, że „się zaznaczył w środowisku”, że „wyeksponował siebie” i „uchronił przed roztopieniem w szarzyźnie anonimowości”. Bo „ruszał mięsem” wobec „ruszających mięsem”. Pan mi zaraz zarzuci: jak to, ja nie mam nic do powiedzenia? Tego nie twierdzę, ale podejrzywam, że Pan popełnia ten sam błąd, co pod tą budką. Chce Pan napisać „mocny” wiersz, a w każdym razie uważa, że nie zaszkodzi go „wzmocnić” taką „odwagą”, „szczerością”, „męskością”. To jest — owszem — modne. Ale to nie poezja. To pirrotechnika.

A. P. Warszawa. Czy naprawdę sądzi Pan, że ta rubryka służy do kpin z młodych autorów? Jeśli nawet, to nie mam powodu kpić z pańskiego udanego wiersza. Tylko czy nie zechciałby Pan zrzędnąć z tego lekarstwa czytelnego wspaniałości ze skargi starej kobiety? Powiedziałbym, że są nawet — jak to się inteligentnie mówi — niefunkcjonalne.

J. T. G. Kraków. Pańskie „futuroliczne opowiadanie” nie jest opowiadaniem. Nie jest w ogóle utworem literackim. Jest listą nowości spodziewanych za 100 lat wpisana w monolog narratora. Ze helikoptery że sztuczne serca, że poduszki samochodów? Tak, ale żadnej w tym sprawy ludzkiej. O, wiem, że za dużo wymagam. Ze skąd autor ma wiedzieć co i jak będziemy przeżywać za 100 lat? Ale właśnie na tym polega dowcip powieści futurolicznej, że wcale nie chce nas okłamywać, iż o tym coś wie. Rozsnuwa tylko swoją fantastyczną scenę i w tę każe nam wierzyć. Ale rozsnuwa w kontekście jakichś spraw ludzkich, spraw już dziś nam znanych. Bez tego kontekstu — powtórzę — jest tylko wylizanką i na tym Pan poprzestał. Przecież nie spodziewałem się w Panu proroka, ale interesującym fantazją ten temat podejmując trzeba być.

W. K. Lublin. Zle, ile. To tylko kiedy się ma (no ile?) 17 lat, uważa się, że wyrażenie „szczęście przyszło jak bańka mydlana” jest czymś niezwykłym. Tymczasem użyte jest już tak, że go nikt nie używa. Z tej drogi stanowczo trzeba zawrócić. Pomyśleć, co się dzieje, co się ma dziać, kiedy ktoś pisze wiersz. Czy naprawdę mówiąc o tym bańkowym szczęściu mówimy cokolwiek? Czy do takiego sformułowania potrzeba poety? No, niech mi Pan odpowie. A widzi Pan. Jeżeli nie, to zastanówmy się do jakich słów poety potrzeba. Do tych jeszcze nie powiedzianych. Dopiero te nazwa nasze przeżyła. Jeżeli przeżyły to, co da się wyrazić pierwszą lepszą sztafą, nie przeżyłyśmy niczego. Wiem, że Pan przeżył. Ale dopóki nie wypowie Pan tego że świętością równą owemu przeżyciu, pozostanie to pańska prywatna sprawa. To tyle na pańskie życzenie szczerze, choćby nawet ostrej krytyki. Poza tym, cóż — czytać, czytać, czytać.

K. E. N. Chełm. Zastanawiam się jak odpowiedzieć. Może tak: Pan pisze z dużym zaangażowaniem, ale jakby trochę po omacku. Jak pianista, który jest przejęty interpretacją dzieła, ale nie zawsze trafia w należyte klawisze. Taka muzyka, taki tekst „grubsza”. Wiem, że sam dość nieprecyzyjnie się wyrażam, ale przypuszczam, że Pan wie o co mi chodzi. Trzeba trochę hamulca, trochę zmiany biegów, nie tylko sam jazd. Refleksja, wątpliwość, zaduma, zamknięcie — to też formaty wiersza. Ale ja przecież piszę o brakach według mojego, nie wykrystalizowanego jeszcze obrazu pańskiej poezji. Kiedy się ta poezja wykrystalizuje, może braki nie okażą się brakami? Oto trudność i wiecześnie ryzyko doradcy.

K. G. Zamość. Odpisuję tylko dlatego, że wiem, iż oczekuje Pan pryncypalnie takiego sygnału na Jej wiersze. Czy naprawdę mówiąc o tym bańkowym szczęściu mówimy cokolwiek? Czy do takiego sformułowania potrzeba poety? No, niech mi Pan odpowie. A widzi Pan. Jeżeli nie, to zastanówmy się do jakich słów poety potrzeba. Do tych jeszcze nie powiedzianych. Dopiero te nazwa nasze przeżyła. Jeżeli przeżyły to, co da się wyrazić pierwszą lepszą sztafą, nie przeżyłyśmy niczego. Wiem, że Pan przeżył. Ale dopóki nie wypowie Pan tego że świętością równą owemu przeżyciu, pozostanie to pańska prywatna sprawa. To tyle na pańskie życzenie szczerze, choćby nawet ostrej krytyki. Poza tym, cóż — czytać, czytać, czytać.

S. P. Wrocław, J. G. Warszawa, O. R. Biła Podlaska, B. G. Lublin, C. D. Radom, W. H. Lublin, C. J. Puławy — nie skorzystamy.

## Krzyżówka (nr 9)

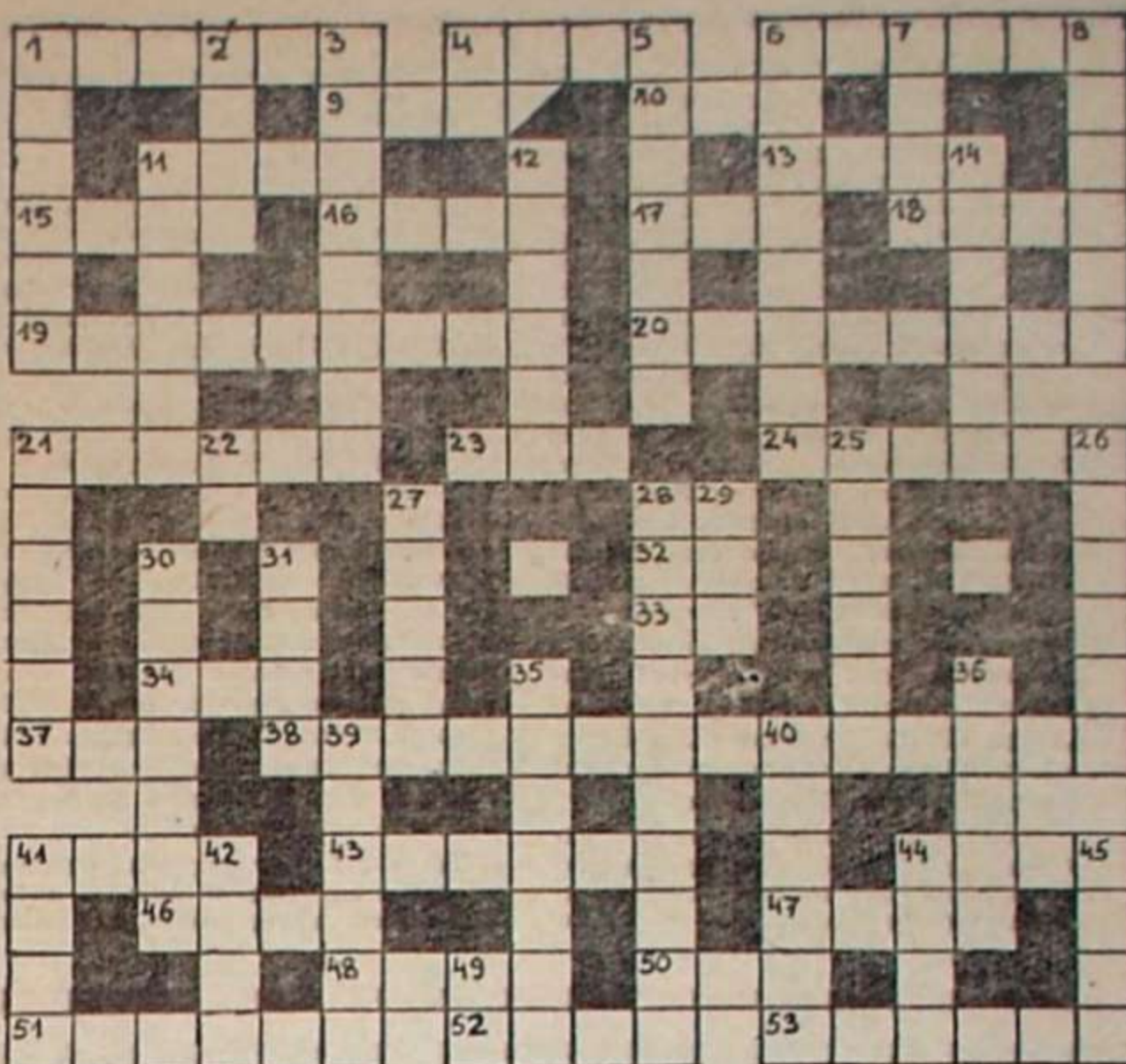
Poziomo: 1. publiczny popis artysty, 4. nieuprawniona ziemia, 6. pomoc, odsiecz, 9. podstawowa przyprawa do potraw, 10. miasto w woj. suwalskim, 11. wielki kamień, 13. tkanina na frakowe gorsy, 15. klimat, 16. narządek, 17. wolała przetrześć, 18. część świata, 19. miasto zabytków nad Wisłą, 20. zakład górniczy, 21. mostek dla pieszych, 22. polski skuter, 24. imię angielskich królów, 28. rzeka na Syberii, 32. dziecięce do widzenia, 33. miara powierzchni, 34. część nogi, 37. zdobywca, 38. zwiększenie szybkości, 41. leśny krewniak świni, 43. roślina z liśćmi szerokimi, 44. sprzęt lekkoatletyczny, 45. kolor w kartach, 47. łączy górna kończynę z tułowiem, 48. służy do niego 44. poziomo, 50. wawóz, 51. wpada do Dunajca, 52. górski dopływ Wisły, 53. technika druku.

Pionowo: 1. przeraźliwy krzyk, 2. miasto samowarami słynące, 3. wyjątkowe zboże, 4. pszczeni dom, 5. szybkie orientowanie się, 6. instrument smyczkowy, 7. 60 sztuk, 8. stary koń z noweli M. Konopnickiej, 11. republika radziecka, 12. zwrot bez głębszej treści, 14. możliwość sukcesu, 21. liliput, 22. zaczyna śpiewaną gamę, 25. opad atmosferyczny, 26. historia, 27. słowo, 28. mienienie się barwami teatru, 29. miejsce konfederacji z 1788 roku, 30. zupa z kaszy, 31. połączenie różnych metali, 35. nauczanie, 36. przedmiot dawnej sztuki, 39. najlepszy wynik, 40. metal szlachetny, 41. najcięższy ptak latający, 42. stolica Egiptu, 44. znoś, 45. podziemny smak, 49. starożytne miasto w Mezopotamii.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 7 był fragment noweli Jarosława Iwaszkiewicza „Róża”.

„Okazało się jednak niebawem że Ignac rzeczywiście był słabowity i rozwijająca się w szybkim tempie choroba cukrowa oraz gwałtowne osłabienie serca nie wróżyły mu długiego życia”.



Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 7 cztery bony książkowe, po 40 zł każdy, wylosowali: Stanisław Wiciński, 21-630 Motycz; Józef Golan, 20-295 Lublin, ul.

Tatarska 61; Edward Gajdor, 33-104 Tarnów, ul. Skowronków 718; Janusz Krajewski, 02-601 Warszawa, Raclawicka 4 m. 27.



### listy do kamery

## TEATR

Niedawno telewizja obdarowała nas 10 — odcinkowym serialem pt. „Ile jest życia” — zrealizowanym na podstawie scenariusza napisanego przez Romana Bratnego. Akcja tych filmowych obrazów obejmuje blisko 30 lat, od roku 1945 po współczesność. Poza licznymi problemami, sygnalizowanymi dyskretnie w całym serialu, nadal aktualne są sprawy poruszone w odcinku „Seans nie ostatni”. Bratny był świadkiem i współtwórcą zakresu przemian, jakie dokonywały się w polityce kulturalnej i w samej literaturze w poszczególnych okresach powojennych dziejów naszego kraju. Cała działalność publicystyczna pisarza dotyczyła elementarnych założeń ideowych, będących podstawą sukcesu polityki kulturalnej. Jej osiągnięć, sukcesów bezspornych i wielkich w zakresie edukacji narodowej, a także błędów i pomylek.

Faktem jest, że zainteresowanie ludzi sportem jest większe niż teatrem. Nie jestem przeciwnikiem rozwoju kultury fizycznej. „Ale wydaje mi się, że warto wspomnieć się — jak pisał pewien znany literat — o pewną proporcję i równowagę w traktowaniu sztuki, nauki i sportu...” (...)

Stanisław Wiktor Sterls  
Kodemiec

## ZAPOMNIANE MUZEUM

Przy ul. Skłodowskiej-Curie w Lublinie istnieje muzeum biograficzne, o którym — mimo że nie tak dawno temu otwarte — mało kto wie. Jest to muzeum poświęcone pamięci Zenona Kononowicza i urządzona w byłej pracowni artysty. Otwarte codziennie z wyjątkiem poniedziałków, „ciszy” się skromnym niezbyt zainteresowaniem, choć wiele się przecież z malarzem wybitnym, członkiem znanych międzywojennych ugrupowań „Zwornik” i „Przymiot”, artystą mocno zespolonym z tradycją kulturalną Lublina i Kazimierza Dolnego. Przyczyną zapomnienia tej placówki nie są przecież irracjonalne, po prostu nikt nie dba o jej odpowiednią reklamowanie, nikt nie wysiłił się, aby uatrakcyjnić ekspozycje. Na ścianie budynku, w którym znajduje się muzeum, wisi straszna, fioletowa tablica ze szkicami, na której żółtymi i czerwonymi farbami wypisano krótką informację. Ponadto w dziennikach lubelskich w rubryce „muzea” punkt przy ul. Skłodowskiej w ogóle nie figuruje. Wszystkie inne placówki muzealne miasta są zaznaczone, tylko nie ta. Jeśli zaś chodzi o ekspozycje: słomna ona, urządzona całkowicie niezgodnie z duchem byłej pracowni Kononowicza — zagracanej, malowniczo, ludzkiej. Teraz tu czystość, sterylność, „muzealnie” i salonowo. Jest higiena, nie ma atmosfery malarskiej pracowni. Proponuję zatem, aby — poza polepszeniem reklamy — nieco zmienić ekspozycję, choćby przez umieszczenie na ścianach wielkich fotografii dawnej pracowni, na których znajduje się także Z. Kononowicz, uchwycony w nader charakterystycznych dla niego momentach. Są to zdjęcia znanomnie, a posiada je jeden z fotografików lubelskich, pan Andrzej Polakowski, który wielokrotnie uwieczniał artystę. Kuba z nich reprodukcjowa zresztą „Kamena”.

Bardzo proszę Muzeum Olegowskie w Lublinie o ustosunkowanie się do niniejszej korespondencji.

Jan Pamula  
Lublin

## „ROMANTYCZNI REALIŚCI”

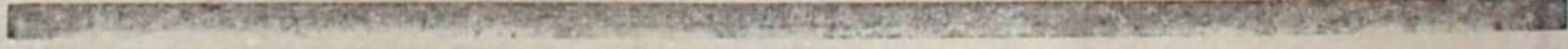
W związku z artykułem Tadeusza Graby pt. „Romantyczni realiści”, („Kamena” nr 4) pragnę dodać, że młodzież ZMS daje się poznać z jak najlepszej strony także w działalności prowadzonej przez dom kultury. Można powiedzieć, że cała kultura kombinatu cementowego spoczywa na barkach ZMS. Rozwijanie działalności kulturalnej wśród załogi nie jest przy tym sprawą łatwą, jako że powadny odsetek pracowników dojeżdża do zakładu z okolicznych wsi i ludzie ci po prostu nie mają czasu aby brać udział w takich czy innych formach pracy kulturalnej.

Maria Konieczko  
Chełm

## MAGISTER AUT?

Polska krajem ludzi kształcących się — to hasło nie zatwierdził odrobiny przesydy, po lacy uczą się na potęgę, przybywa ludzi z wyższym wykształceniem, przybywa także ludzi z tytułem doktorskim. Więc wydaje mi się trochę pretensjonalne stosowanie przed nazwiskiem wyróżniającego niegdysz skrótu „mgr”. Tytuł jest dziś magistrowi, że takie zabiegi nie mają sensu, a może nawet są śmieszne. Sądzę również, że osoby pełniące wysokie funkcje nie powinny używać owego skrótu, jako że wiadomo, jakie kwalifikacje zawodowe i poziom wykształcenia obowiązują na wyższych szczeblach sprawowania władzy.

Nikodem Wieluński  
Radom



## Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechazy-Badnicka (szefowa redakcji), Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnego. — do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 38.— Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 24, 00-358 Warszawa, konto PKO nr 1521-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty, kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki — piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1030.

Numer lamal: Wiktor Mada, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa  
Adres redakcji: 20-629 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji

Okas. 2002 19769

# „STUDIO II” - „STUDNIA II”

**Z**APLANOWALISMY do bieżącego numeru na pierwszej stronie kilka zdjęć Bardinięgo, bo człowiek ten dzięki wyjątkom w telewizyjnym „Studio II” zyskał sobie dalszą popularność i sympatię. „Kamień” przygotowuje się z dwutygodniowym wyprzedzeniem (co i tak nie jest jeszcze tak źle, biorąc pod uwagę naszą bazę poligraficzną). Ta uwaga jest potrzebna, bo właśnie w dwa dni po wysłaniu zdjęć do chemigrafii wpadł w nasze ręce świąteczny numer „Polityki”. Kalendarz z warszawskiego tygodnika byli szybsi (wiadomo, stolica): zamieścili na pierwszej stronie duże zdjęcie Bardinięgo, a na dziewiątej stronie scenkę ze „Studia II” również z sylwetką tego znakomitego aktora. Nie koniec na tym: w „Polityce” ukazał się również wywiad, a ściślej „przyjacielska rozmowa”, jaką z Aleksandrem Bardiniem przeprowadziła Krystyna Nastulanka.

Okraśniali nam twarze z zażdrości, gotowiliśmy już byli sięgać do innych propozycji fotograficznych, ale po obejrzeniu w TV w

drugim dniu świąt gigantycznego „Błoku”, do którego redakcja publicystyki kulturalnej na gwałt szuka tytułu, postanowiliśmy niczego już nie zmieniać. Bo przecież obok zdjęć Bardinięgo publikujemy również na pierwszej stronie zdjęcie dziennikarzy prowadzących „Studio II”. Bożena Walter, Tomasz Hopfer i Edward Mikołajczyk — to nie komplement, ale zwykłe stwierdzenie faktu — dali się poznać jako znakomici prezynterzy. Są tak prawdziwie naturalni, że ogląda się ich zawsze z przyjemnością, wybacząc nawet drobne przejęzyczenia czy naiwne pytania kierowane pod adresem profesora Walego Pisarka. Zresztą słysząc ich poprawną polszczyznę, nie chce się wierzyć, aby te pytania wpływały z rzeczywistości niewiedzy...

Teraz z formy „my”, sugerującej, że zabieram głos w imieniu całego kolektywu naszej redakcji, muszę

dla pełnej jasności przejść na pierwszą osobę liczby pojedynczej.

Więc, droga telewizjo, po kiego licha potrzebny nam ów gigantyczny „Blok”, w którym jest jeden wielki groch z kapustą? Czy normalny program telewizyjny musi mieć jakąś specjalną nazwę? Bo cóż nam takiego nadzwyczajnego pokazano? Dwa filmy pełnometrażowe i kilka innych, sprawozdanie z meczu hokejowego, plansze z przysłowiami, amatorskie malunki, czy wreszcie popularnych aktorów, bohaterów seriali, którzy przy obieraniu kartofli, pisaniu telegramów do byłych narzeczonych i odpowiadaniu na niezbyt inteligentne pytania również popularnych aktorek, członkiń jury, wykazali co najmniej brak poczucia humoru. Obserwując szranki panów Bąka, Mroźewskiego czy Pawlikowskiego że już o młodszych nie wspomnę, człowiek rumienił się ze wstydu. A przecież nie jestem wrogiem wy-

glupców. Uważam jednak, że wyglupy też powinny mieć jakiś sens! Jeśli znakomici aktorzy nie mogą właściwie niczego powiedzieć od siebie, trzeba było całość wyreżyserować, z góry przygotować odpowiednie teksty. Ostatecznie nie każdy musi być Fedorowiczem, który wszystko sam potrafi wygarnąć. (A tak przy okazji naiwne pytanie: czy radio ma na niego monopol?)

Twórcy „Błoku” prosili telewizorów o pomoc w wymyśleniu tytułu swojej składanki. Owszem, mam pomysł. Na przykład „Studnia II”. A bo „Telestudnia”. Albo po prostu „Ni w pięć ni w dziewięć”. Można zresztą („Blok” to lubi) sięgnąć do „Trzech centurii przysłów polskich” i wyszukać coś w rodzaju: „Co dalej, to gorzej”, „Z tego wszystkiego będą naci”, „Częstował go, aż nie trafił do drzwi”, „Snaśniej połknąć niż strawić”.

Mecz „Studio II” — Studnia II” kończy się wynikiem dwucyfrowym. Pięć bramek strzelił Bardinię. Po dwie: Walter, Hopfer i Mikołajczyk.

Fanfary!

MAJ

## minuta myślenia

### Typy na konie

**K**ILKA tygodni temu KTT wystawił na cenzurowane tę formę publikacji prasowej, która nazywa się wywiadem, jako najbardziej sprzyjającą powierzalności, zdawkowości, niekompetencji. Wystawił całkiem słusznie. Nie dlatego, że indagowany w wywiadzie to lalka i bucał, ani dlatego, że dziennikarz to ignorant i zadufek, ale dlatego, że stosownie do okresowej mody przyjął się obecnie nawyk przesłizgiwania się przez temat bez poczucia odpowiedzialności, natomiast z subiektywnym przekonaniem o prezentowaniu w ten sposób „przybliżającego”, odprofesjonalizującego „wzrostku”. Zamiast gruntownej analizy — chwytliwe słówko, zamiast dyscypliny systemu — „spacerek” po problemach. Jest to zjawisko nie nowe i swego czasu Sławomir Mrozek nie mało swych satyrycznych pocisków w jego stronę wysłał. Kiedyś, kiedyś, w warszawskim Domu Dziennikarza odbywało się spotkanie z Fryderykiem Dürrenmatem. Kiedy publiczka już za bardzo pewnie poczuła się w lo-

cie ponad głowami problemów, a szwajcarski dramaturg dał się w tę atmosferę wciągnąć, dramaturg polski poprosił o odpowiedź w kwestii wyrażonej słowami: „A tak w ogóle, to co słyszałeś?”

KTT powiada, że wyższy stopień zatrucia dyscypliny wykazuje ta forma zbiorowego prezentowania myśli, jaką nazywamy „rozmową redakcyjną”. Też prawda. Z tym, że opinie te należy zdecydowanie wzmocnić odnosząc ją do rozmów redakcyjnych w TV. Nie mówię o tych specjalistycznych, jak np. na temat piramid, czy penetracji przestrzeni kosmicznej. Ale wystarczy coś bliżej „normalnego” zainteresowania przeciętnego obywatela PRL, by wytworzył się istny zator „oryginalnych” stanowisk przeciętnych się w epatowaniu przeciętnego widza. Skoro to bieżąco do dziesięciu milionów widzów, staje się w mniemaniu rozmówców tym mniej obowiązkowe. Już sam fakt tak szerokiego upowszechniania wypowiedzi nadaje jej niebywałą rangę, więc po cóż jeszcze się wysilać? Całą energię należy skierować na „entree”, na przebiecie partnera.

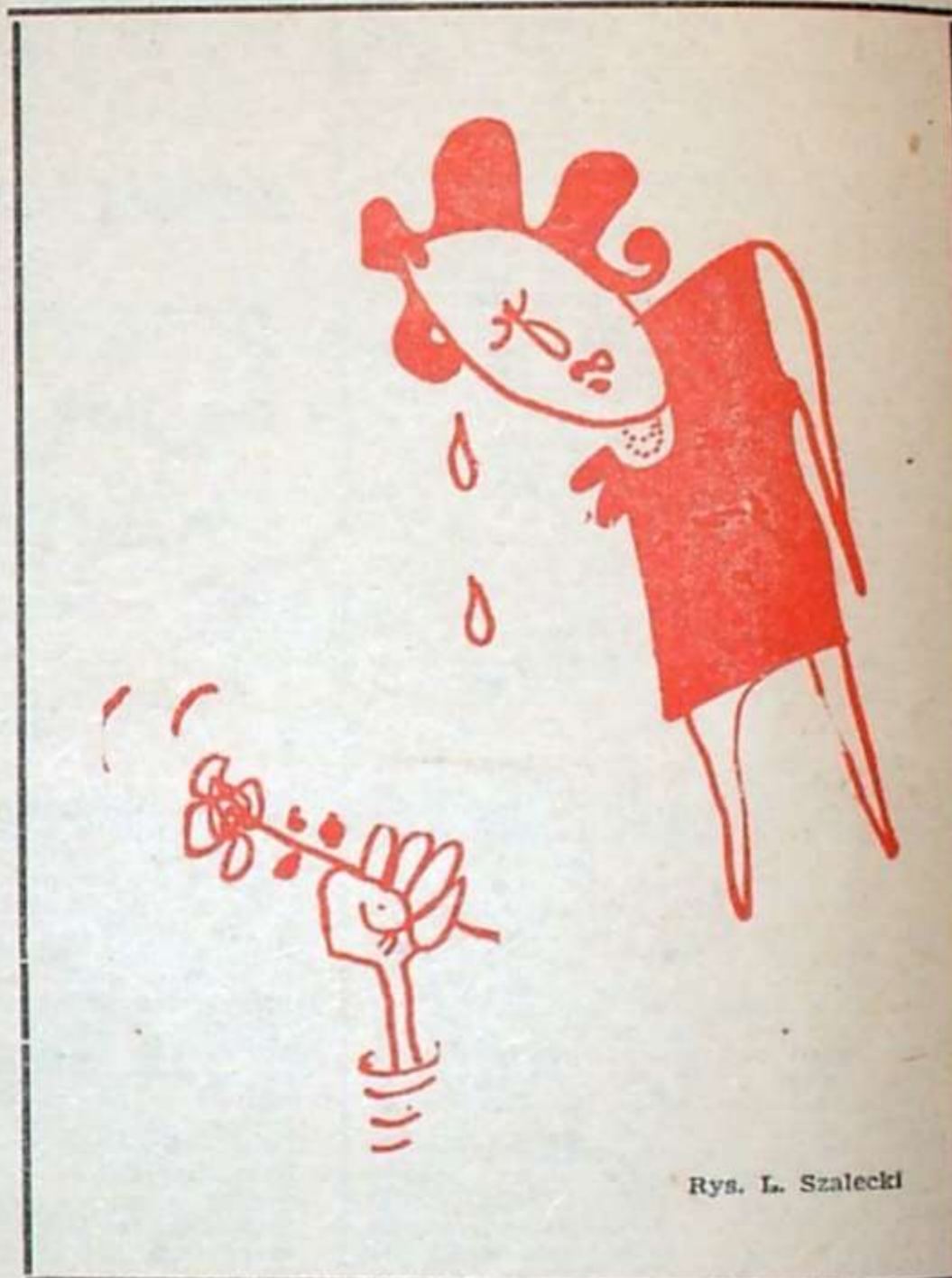
Istnieje przekonanie, że w tej dziedzinie wyróżnia się specjalnie Zygmunt Kałużyński i rzeczywiście nie można mu tego wyróżnienia odebrać, nawet jeżeli zakamuflowany temu przekonaniu parę razy dał wyraz. Jednakże przyznać trzeba, że Kałużyński czynił to nie wyłącznie dla wyłansowania własnej osoby, natomiast gustuje w bulwersowaniu opinii publicznej i dla tego celu gotów jest poświęcić nawet dobre imię w znaczeniu towarzyskim, nawet rygor logiczny swych enuncjacji. W każdym razie jeśli idzie o „Muzeum wyobraźni” nadane w niedzielę 4 ub. m., która to audycja (wciąż nie ma terminu

na określenie pozycji w programie telewizyjnym) miała specjalnie wypunktować tę właściwość sposobu bycia Kałużyńskiego, jestem innego zdania. Kałużyński przyjął na siebie rolę niewdzięczną, bo oskarżyciela wartości, o której wiadomo, że spotka się z przychylnym przyjęciem społeczeństwa. To by jeszcze było pół biedy, a nawet taka rola przysięgiemu pieniaczowi odpowiada. Jest jednak sam emocjonalnie związany z obrazem Podkowińskiego, więc pozycja prokuratora powinna go uwierać. Tak, ale przyjął ją dla żartu, natomiast nie dla żartu wystąpił przeciw obrońcom, którym mniej zależało na samym obrazie co na okazji do pogalopowania na koniu Podkowińskiego pod oklaski publiczności.

Co tu ukrywać. To Andrzej Oseka, obrońca obrazu, wysmarował przeciw niemu filiżkę jak się patrzy lat temu kilkanaście, co zostało wykazane przez Kałużyńskiego. I uważa, że wszystko w porządku. Nawet tłumaczyć ów ewenement nie stara się o jakieś motywacje w rodzaju „zmieniłem pogląd”, czy coś takiego, ale rąbie „wyjaśnienie”, które jakoby bez najmniejszej wątpliwości powinno każdemu trafić do przekonania: „to praca magisterska, wyraziłem pogląd profesora”. Inaczej: „napisałem to, czego nie uważałem za słuszne”. W takim razie mam wątpliwość, czy za lat dziesięć, kiedy ewentualnie dojdzie znów do podobnego sądu nad „Szaleń” Podkowińskiego, Oseka nie zajmie stanowiska prokuratora. Któremu Osece będę musiał wierzyć? I co mam brać za wyraz jego przekonania z tego, co pisze dzisiaj?

A swoją drogą ciekawe, jak zmieniły się typy na konie w dyskusjach artystycznych.

Ijon



Rys. L. Szalecki

# bez tytułu

## POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

— 6 —

— Ryszard, co się stało? — Elżbieta stała w drzwiach.  
 — Nic specjalnego. Ale chciałem z tobą porozmawiać.  
 — Prosiłam cię, abys tutaj nie przychodził...  
 — Boisz się, abym się nie spotkał z twoją szczeniacką sympatią? — W oczach Ryszarda Brannwettera pojawiło się coś złowrogo. Elżbieta zauważyła to szybko, poczuła się nieswojo. „Boże, o czym on myśli? Czyżby...”  
 — Zaprosisz mnie do siebie?  
 — Oczywiście. Napijesz się kawy? — Chciała zyskać na czasie.  
 Ryszard rozsiadł się w fotelu. Rzadko bywał w tym domu. Sublokatorski pokój nie stanowił dobrego azylu. Zastanawiał się, jak zacząć rozmowę. I on pragnął uporządkować myśli. Zapalił papierosa.  
 Elżbieta krzątała się w kuchni. Ta niespodziewana wizyta zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Drżącymi rękoma

zapaliła gaz. „Trzeba zyskać na czasie. Wszystko musi się wyjaśnić. Byłoby tylko nie stracić zimnej krwi. Byłoby tylko... Ale jak?”

— Nie ma twoich gospodarzy? — Ryszard uspokoił się nieco. Spoglądał na Elżbietę. Wyglądała tak naturalnie... W tym momencie gotów był uwierzyć, że wszystko to, co ustyszał, stanowiło zwykłą intrygę, przygotowaną z premedytacją przez syna.

— Chwilowo nie ma. Ale zaraz powinni się zjawić. —

Dodała z pośpiechem.  
 Ryszard zastanawiał się, jak zacząć rozmowę. I czy w ogóle ją zacząć. To znaczy, czy mówić o tym, co go tak nagle do tego domu ściągnęło. Z przyjemnością zapomniałby o wszystkim i mocno przycignął do siebie dziewczynę.

Elżbieta odzyskała zimną krew.

— Przepraszam cię — powiedziała. — Co miałeś na myśli mówiąc o jakiejś szczeniackiej sympatii?

Ryszard Brannwetter zorientował się, że musi wszystko postawić na jedną kartę. Teraz nie było już odwrotu. „Jeśli sama chce...” — pomyślał.

— Co z tą kawą? — zapytał.

— Za chwilę będzie. Ale nie zmieniaj tematu. Strasznie nie lubię plotek.

— Plotek? Ja mam swoje informacje.

— Zatoż bank informacji. Gmoch ci się kłania.

— Eika, przestań się wygłupiać. Nie lubię, jeśli ktoś robi ze mnie jelenia. Masz kogoś, dobrze. Ale przynajmniej musisz mieć na tyle odwagi, aby przyznać się do tego.

Nadchodził moment decydujący. Elżbieta postanowiła przyjąć wezwanie.

— Rozwiedziesz się z żoną?

Strzał był wymierzony celnie. Gwizd czarownika z gotującą się wodą oboje przyjęli jak wybawienie. Ale Elżbieta czuła, że wygrała pierwszą rundę.

Wróciła z kuchni, niosąc dwie filiżanki napelnione kawą. Teraz Ryszard pragnął zyskać na czasie.

— Neska?

— Nie. Neski przecież nie lubisz.

— Jeśli kawę przyrządzasz osobiście, to mi wszystko jedno.

— Stule ci uprzejmie. Mam jeszcze kilka kieliszków calvadosu.

— Miła niespodzianka. Gdzie kupiłaś?  
 — W Suidniku w Peberie.

— Jeździłaś tam na moje spotkanie?

— Mniejsza z tym. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Rozwiedziesz się?

— Chwilczkę... Możesz mi usiąść na kolanach?

— Po tym co powiedziałaś — Elżbieta poczuła się jeszcze pewniej. Zorientowała się, że jest na dobrej drodze.

— Stuchaj Rysiek, tak dalej być nie może. Ja mam już dosyć tej sytuacji.

— Masz dosyć, bo znalazł się ktoś...

— Daj spokój. To wszystko jest mało ważne. Ostatecznie jestem wolna i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

— Więc nie zaprzeczaj, że podrywasz kolegę mojego syna?

— Kto kogo podrywa, to rzecz dyskusyjna. Ale jeszcze raz podkreślam, że jestem wolna, zupełnie wolna. A ty? czy sądzisz, że nasze potajemne spotkanie... — Ukryła twarz w dłoniach.

— „Jest znakomitą aktorką” — pomyślał. — „Robi ze mną, co chce. Boże, jaki ja jestem duren!”

Nacierała dalej. Te tzy, które pojawiły się w jej oczach — sztuczne, czy prawdziwe, to w tej chwili nie było ważne — już stanowiły kolejne zwycięstwo.

— Ryszard! Wszystko może być inaczej. Zupetnie normalnie. I wszystko zależy od ciebie.

— Wyszłabyś za mnie? — Ujął jej rękę. Rozbroiła go zupetnie. Przypominał sobie to, co zdarzyło się w „Lubianca”. Jego żona też nie była w porządku.

— Tak. Ale przecież to nie jest możliwe. Lubisz ustabilizowany tryb życia.

— A jeśli się mylisz? Powiedz jednak, czy w moim wieku można zaczynać życie od nowa?

(cda)

Dziś drukujemy w całości (po drobnych poprawkach) tekst Zygmunta Niwińskiego z Warszawy. (Dziękujemy!). Na następny odcinek powieści czekamy do 7 maja. (Adres: patrz str. 15). Zachęcamy tych autorów, którzy już próbowali kontynuować powieść. Nasza dewiza: nie zniechęcać się! Bawimy się wspólnie. Samo życie!